

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

GARNIZON

1 | 2022

MAGAZYN ORYGINALNY



Co można robić zimą w mieście?

(w garnizonie tej!)



'drużmy dalej!'



Pić. Dużo płynów, najlepiej ciepłych i mocnych.

konsumować zapary papierosy

W towarzystwie dobrego, wyrafinowanego i wysoce rozwiniętym konwersacyjnie!



Plać się w luksusie prywatnego basenu



w bezsenne noce pilnować, żeby wszystkie światelka na osiedlu działały bez zarzutu.

Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze przyjdzie lato.

SPIS TREŚCI

DZIEJE SIĘ!	4
POSTACI	6
Beata Stańczak: Moda to sztuka kompromisu	
Z BLISKA	9
Rzuć wszystko i chodź zatańczyć	
GWIAZDY W GARNIZONIE	12
Jethro Tull: Szaleństwo na jednej nodze	
ŚLADAMI HISTORII	16
Garnizon miastotwórczy	
POZNAJMY SIĘ	20
Królik, który glutenowi się nie kłania	
HYDE PARK	23
Lustro	
DLA CIAŁA I DUCHA	24
Przezorny zawsze rozciągnięty	
OBLICZA WRZESZCZA	26
Ulice Wrzeszcza	
LITERACKI GARNIZON	30
Ewa Białołęcka: Drzwi do...	
MÓZG NA TALERZU	38
Buongiorno pomodori!	
CO NOWEGO W GARNIZONIE	40
Przegląd nowych lokali usługowych	
Spis lokali usługowych Garnizonu z mapką	42

Dzień dobry Państwu!

Z wielką energią i rumieńcami na licach zaczynamy nowy rok wydawniczy, zaszczytzeni ciepłymi słowami i wyróżnieniami, jakie spotkały nas minionej jesieni. Naszym noworocznym postanowieniem było otworzyć w naszym magazynie nowy cykl. Tak też czynimy. Luz, dystans i optymizm to ostatnio w kraju towar nieco deficytowy, dlatego też czujemy się w obowiązku zainaugurować rubrykę pt. „Z humorem”, która zajmie swoje stałe miejsce w nowym ładzie „Garnizonu”. Cel to wywołanie u naszych Czytelników promiennego uśmiechu przed dalszą lekturą. W pierwszym odcinku gościmy popularną trójmiejską rysowniczkę Magdę Danaj, która podpowiada nam, jak na proste sposoby umilić sobie zimowe tygodnie.

Inne metody zawarliśmy w przygotowanych przez nas artykułach. Nietuzinkowe garnizonowe postacie opowiadają nam tym razem o świecie mody, kulinariach czy tańcu. Jest też okazja dowiedzieć się o tym, jak zmieniały się nazwy wrzeszczańskich ulic oraz jak historyczny garnizon Czarnych Huzarów ukształtował miastotwórczo naszą najbliższą okolicę.

W garnizonowym cyklu literackim przyszła kolej na fantastykę. Ewa Białołęcka opowiada nam historię młodego człowieka, który przypadkiem wkracza do tajemniczej krainy, stworzonej z wyobraźni pewnego kultowego polskiego artysty. Jest to świat tyleż fascynujący, co i niepokojący...

Oczywiście w piątym numerze nie mogło zabraknąć garści użytecznych informacji o wszelkich nowościach w naszej dzielnicy. Nasz Garnizon zmienia się wszak... z kwartału na kwartał.

Przyjemnej lektury!

Zespół redakcyjny

HOSSA

Grupa Inwestycyjna Hossa S.A.
ul. Władysława IV 43
81-395 Gdynia



Redaktor naczelny: PAWEŁ DURKIEWICZ | Wydawca: JUSTYNA GLAZAR
Projekt okładki, koncepcja layoutu: MAGDALENA PESZKOWSKA-BEDNARCZYK | Skład: ALICJA RYNKIEWICZ
Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania przysłanych tekstów.
redakcja@garnizon.pl | reklama@garnizon.pl | www.garnizon.pl | Facebook.com/GarnizonWrzeszcz

ul. Bernarda
Chrzanowskiego

...DZieje

Się!...

W tym cyklu jak zwykle zbieramy do kolekcji kamienie (i kamyczki) milowe w rozwoju Garnizonu. Spójrzmy zatem, co w trawie piszczy!

KIEROWCO, WRACAJ DO HAL!

Dobra wiadomość dla zmotoryzowanych gości Garnizonu, którzy przyjeżdżają na lunch, większe zakupy czy zabieg kosmetyczny. Po zmianach w cenniku parkowania, we wszystkich ogólnodostępnych parkingach podziemnych na poziomie -1 pierwsza godzina postoju jest bezpłatna. Każde kolejne pół godziny postoju to koszt symbolicznej złotówki. Dodajmy, że w ostatnim czasie Garnizon wzbogacił

się o kolejną, piątą z kolei halę garażową, która znajduje się pod biurowcem Gato.

Nieodpłatnie można parkować również, przez pół godziny po pobraniu biletu, na dziedzińcu przy al. Grunwaldzkiej 184. Szczegółowe informacje o cenniku i zasadach parkowania znaleźć można na stronie garnizon.pl/parkowanie, na której można też wykupić abonament.

ŻEBY CHODNIK BYŁ CHODNIKIEM

Mocną metamorfozę przeszedł pod koniec minionego roku odcinek ulicy Chrzanowskiego między ul. Szymanowskiego i Leśmiana. Na trotuarze umieszczone zostały elementy zieleni i małej architektury, które skutecznie przywrócą tę przestrzeń pieszym oraz zapewnią bezpieczeństwo rowerzystom poruszającym się wzdłuż Chrzanowskiego pasem wyznaczonym przy granicy jezdni. Mowa o tzw. przysiadakach (podparciach umożliwiających cyklistom zatrzymanie się bez zsiadania z roweru) oraz słupkach do przypinania jednośladów. Na chodniku umieszczone zostały też słupki wygradzające oraz kosze na śmieci. Dodatkowo zasadzone zostały klony, tworzące szpaler pomiędzy ulicami Leśmiana i Stachury.

Inwestycję zrealizowała ze środków własnych Grupa Inwestycyjna Hossa, w uzgodnieniu z Gdańskim Zarządem Dróg i Zieleni. Koszt prac wyniósł ponad 200 tys. zł netto.



WITAMY W GARNIZONIE NOWYCH REZYDENTÓW BIUROWYCH

GATO

- **Objectivity**
Software house
- **Wolters Kluwer Polska**
Wydawnictwo
prawno-biznesowe

SŁOWACKIEGO 19

(SZTUKA WYBORU)

- **Dark Arkitekter**
Polska
Biuro projektowe

GRUNWALDZKA 186

- **F-Trust**
Produkty oszczędno-
ściowe i inwestycyjne
- **Newater**
Realizacja obiektów
gospodarki
wodno-ściekowej

GRUNWALDZKA 184

- **PGW Wody Polskie**
Zarząd Zlewni w Gdańsku

OMEGA

- **Automaze**
Automatyka
- **DMJ Polska**
Analizy IT
w e-sporcie

BUDUJĄCE WIADOMOŚCI

Rozkręcający się rok 2022 będzie bardzo pracowitym czasem dla budowniczych nowych części Garnizonu.

W kwartale VII, czyli w geometrycznym centrum naszej dzielnicy, realizacja nowych budynków jest już na zaawansowanym etapie. W chwili zamykania niniejszego wydania gotowa była znaczna część elewacji, a także tynki wewnętrzne. Trwały prace sieciowe, łączące budynek z infrastrukturą zewnętrzną, stawiano ścianki działowe w mieszkaniach, a na klatkach schodowych rozpoczęły się prace wykończeniowe. Odbiory zaplanowane są na ostatni kwartał bieżącego roku.

Rośnie też budowa przy ul. Szymanowskiego 8 – na początku stycznia były już wykonane ściany zewnętrzne kondygnacji podziemnej oraz fundamenty pod ściany i słupy wewnętrzne. W tej części Garnizonu procedury odbiorowe zaplanowane są na pierwszą połowę roku 2024.



ORYGINALNY PODWÓJNIE SREBRNY

Zbyt wiele mówić (ani pisać) o sobie nie wypada, wspomnijmy więc krótko o przemyślnym wyróżnieniu, jakie spotkało nas niedawno podczas gali finałowej konkursu Power of Content Marketing Awards, organizowanego przez Stowarzyszenie Content Marketing Polska. W tegorocznej edycji magazyn „Garnizon” został nagrodzony Srebrnymi Nagrodami w dwóch kategoriach: „Content Marketing

Nieruchomości” oraz „Magazyn dla Klientów B2C”. W uzasadnieniu jury, złożone z 23 ekspertów branżowych, wskazało na „wzmacnianie i integrację lokalnej społeczności”. To dla nas wielka motywacja do dalszego rozwoju, a także powód do satysfakcji – tym większy, że nasz magazyn mimo trudnego dla wszystkich czasu i bez szumu medialnego zaskarbił sobie sympatię Czytelników. Dziękujemy!

fot.
Paulina
Hinz

POSTACI

mat.
prasowe
ByCabo

Paweł Durkiewicz



Moda

TO SZTUKA KOMPROMISU

Droga Beaty Stańczak do świata mody była dość kręta i nieco wyboista. Jej historia dowodzi jednak, że warto dążyć do urzeczywistnienia słynnej recepty Konfucjusza: „Wybierz pracę, którą kochasz, a nie przepracujesz ani jednego dnia więcej w życiu”. ByCabo – ceniona marka odzieży damskiej, bogatej w charakterystyczne falbany – to właśnie jej autorskie dzieło. Rozmawiamy w oryginalnym garnizonowym butik ByCabo przy ul. Norwida.

PAWEŁ DURKIEWICZ: Jak zostaje się projektantem lub projektantką mody? Nie jest to konwencjonalny plan na życie...

BEATA STAŃCZAK: Narodzin ByCabo nie poprzedziła w moim życiu jakaś niezwykła historia. Był to w sumie przypadek. Wcześniej pracowałam w branży nieruchomości, a potem w bankowości. Ogólnie można powiedzieć, że robiłam rzeczy mocno oddalone nie tylko od mody, ale i w ogóle od jakiegokolwiek sztuki czy kreatywności – w tym okresie liczyło się wyłącznie twarde stąpanie po ziemi. W banku długo nie wytrzymałam, bo sztywne procedury i godziny pracy to nie była moja bajka. Kolejnym życiowym pomysłem była iberyjska restauracja na Głównym Mieście. W momencie gdy otwieraliśmy ją z naszym wspólnikiem, wiedziałam

już, że... tego też nie chcę robić.

Podobał mi się chyba tylko ten etap, gdy urządzaliśmy nowy lokal, dobieraliśmy meble, zdobienia, naczynia itd. Wciąż wisi w niej na ścianie dekoracyjna sukienka z moimi ukochanymi falbankami, które najwyraźniej zawsze chodziły mi po głowie... Potem, już po inauguracji, okazało się, że spędzamy w pracy 16 godzin – nawet nie będąc w lokalu, musieliśmy codziennie pilnować różnych spraw. Wszystko to było przytłaczające. Gdy pojawiła się okazja, odsprzedaliśmy nasze udziały w lokalu. Nie było z tym problemu, gdyż restauracja „zaskoczyła”, i to bez żadnych nakładów marketingowych.

Jak rozumiem, kolejny rozdział to już falbanki na całego.

Powoli. Po wyjściu z gastronomii pojawiły się wolne środki finansowe. Zgłosiła się do mnie znajoma, która w Łodzi wykształciła się w zakresie projektowania ubioru. Potrzebowała inwestora, jednak nie chciałam ograniczać się wyłącznie do takiej roli. Miałam już wtedy swoje pomysły i chęć sprawdzenia swoich sił. Nasza wspólna przygoda trwała krótko. Uszyliśmy trochę ubrań i okazało się, że sprzedają się tylko moje rzeczy. Wydaje mi się, że moje projekty miały po prostu większą wartość komercyjną, mimo że skierowane były raczej dla odważnych pań. Wtedy sprzedawałam moją pierwszą sukienkę z falbanami, w jednym rozmiarze, na Instagramie, bo nie miałam jeszcze swojej strony internetowej. Czulałam się jednak rozczarowana nieudaną współpracą i nie chciałam już kontynuować przygody z modą, tyle że pozostało mi mnóstwo zakupionych materiałów, które poszłyby na zmarnowanie.

Jaki jest wobec tego punkt zwrotny w tej historii?

Pojawiła się dziewczyna, która po przejściu moich projektów powiedziała mi, że chce sprzedawać moje sukienki w Niemczech. Odparłam, że po nieudanej spółce raczej nie widzę już możliwości



fot. Paulina Hinz

powrotu do tej branży. Wtedy poradziła mi też, żebym założyła własny brand i zaczęła wszystko od zera. Pomyślałam sobie: dlaczego nie? I tak w 2014 r. powstało ByCabo, marka, która rzeczywiście jest pełnym odzwierciedleniem mojego spojrzenia na modę. W firmie to ja odpowiadam za wszystko, począwszy od pomysłów, poprzez produkcję, dobór materiałów, marketing, aż po social media. Choć wspomnieć należy tu też Sylwię, która pomaga mi prowadzić sklep w Garnizonie i realizować zamówienia. Niemniej to, co widać w naszych kolejnych kolekcjach, to zapis mojego rozwoju i drogi twórczej. A jej początki były oczywiście trudne. Produkcja odzieży to nic innego jak proces technologiczny, który ma swoje konkretne wymagania. Jeśli idziemy do dużej szwalni i chcemy stworzyć produkt o dobrej jakości, wszystko musi zacząć się od profesjonalnego projektu - szablonu, który przetwarza nasz ulotny pomysł na sukienkę w coś, co może nabrać realnych kształtów. Z czasem okazało się, że jestem w stanie robić to sama, choć oczywiście uczę się cały czas. Zaczęło się właśnie jesienią 2014 od małej kolekcji.

Co zaskoczyło panią w branży modowej?

Dość szybko doszłam do wniosku, że wbrew utartym stereotypom nie jest to lekki, łatwy i przyjemny „babski” biznes. Owszem, przyjemniej jest tworzyć ubrania niż np. projektować uszczelki, ale zasady funkcjonowania na rynku są

podobne – interes po prostu musi się „spinać”. Nigdy nie jest tak, że w każdej kolekcji do końca sprzedadzą się wszystkie pozycje. Dlatego ważne, by w każdej kolekcji znalazły się bestsellery, które pociągną resztę. Z drugiej strony mam taką politykę, że nigdy nie doszywam tych bestsellerów, nawet jeśli sprzedają się na pniu. A latem minionego roku mieliśmy w kolekcji letniej sukienkę, która po wejściu do sprzedaży rozeszła się całkowicie w 3 minuty. Mieliśmy wtedy mnóstwo telefonów od pań, które nie rozumiały, jak to możliwe...

Każda kolekcja ByCabo ma swoją sesję zdjęciową w ciekawych miejscach na świecie.

Ostatnio jeździliśmy do Tulum w Meksyku, na Mykonos, do Paryża i Rumunii, gdzie za scenografię posłużyły nam wulkany błotne. W kontekście kolekcji Lato 2022 myślimy już o Faro w Portugalii i tamtejszych klifach. Muszę powiedzieć, że nie lubię sesji w studiu,

Skąd nazwa ByCabo? Cabo San Lucas w Meksyku! Kocham Meksyk, jest to miejsce, które mnie zawsze inspiruje swoją energią i kolorami. Podróże, zwłaszcza te w dalsze i ciepłe miejsca, to dla mnie niewyczerpane źródło pomysłów na modę.

choć myślę, że moje kreacje pewnie by się i w tych warunkach wybroniły swoją wyrazistością. Gdy zrobiłam na Instastory ankietę z pytaniem do klientek, czy wolą zdjęcia indoor czy w plenerze, chyba 90 proc. odpowiedziało, że wolą fotografie outdoorowe. Mają one swoją specyfikę – z pewnością widać na nich trochę mniej niż na „sterylnych” zdjęciach ze studia, ale za to dobrze dobrane otoczenie potrafi być nieocenioną wartością dodaną. Wtedy wraz z sukienką kupujemy trochę tego lata i ciepła płynącego z fotografii. Chcę też podkreślić, że nasze klientki często stwierdzają, że nasze ubrania na żywo prezentują się jeszcze lepiej niż na zdjęciach. To raczej rzadkość i czuję się z tego dumna.

Gdy rozmawiamy, w kinach króluje film „Dom Gucci” o rodzinie rekinów świata mody. Kogo zaliczyłaby pani do swoich autorytetów wśród klasyków?

Całkiem przyjemny film! Co do idoli - na pewno Christian Dior z jego niezwykle kobiecymi kreacjami. Również Coco Chanel, która nie skończyła żadnych specjalistycznych szkół, a pozostawiła po sobie niesamowite dziedzictwo. Do tego Alexander McQueen, wielki wizjoner, którego już niestety z nami nie ma. Z marek, które mi się podobają, wymieniałabym ponadto Chloé, Zimmermanna, Marca Jacobsa czy Toma Forda.

A więc ścisła elita świata mody. A co według pani decyduje to tym, że spośród wielu młodych kreatorów, którym nie sposób odmówić talentu, a często i ekstrawagancji, tak niewielkie grono osiąga wielką sławę i powodzenie?

Oryginalność i twórczy ferment zawsze są w cenie, zwłaszcza w rzeczywistości, której pomysły są powielane po tysiąc razy. Ale jeśli mówimy o sukcesie, to kluczowe jest chyba to, o czym już wspomniałam. Kiedyś sporo jeździłam na pokazy, podczas których pokazywało się wielu młodych obiecujących twórców, absolwentów

różnych szkół. To, co było dla mnie uderzające, to fakt, że mimo całego piękna i świeżości ich kreacji, praktycznie żadna nie nadawała się do... ubrania. A przez to nie miały żadnych szans na osiągnięcie wyniku sprzedażowego. Mówiłam im: Musicie znaleźć kompromis między swoimi ambicjami artystycznymi a twardymi realiami. Nawet jeśli znajdziecie teraz inwestora, miejcie z tyłu głowy, że z czasem będzie on chciał zarobić. A zatem – gratuluję pierwszej kolekcji, ale dopiero, gdy wypuścisz piątą, będzie to oznaczało, że ci się udało.

Czyli, tak jak w przypadku każdego innego biznesu, liczy się nie tylko boża iskra, lecz przede wszystkim umiejętność odnalezienia się na rynku?

Wydaje mi się, że to jest właśnie bariera, którą trzeba przebić, aby zdobyć nazwisko i rozpoznawalność w modzie. Mieć pieniądze lub skuteczną metodę na ich zdobywanie i zachowanie płynności. Właśnie dlatego świat mody to bardzo żywy organizm, w którym co rusz dokonują się różne przekształcenia, fuzje i przejęcia. Wielu twórców ulega też złudzeniu Instagrama, gdzie mają wiele tysięcy obserwatorów i komentarzy. To super, bo Instagram jest dziś

bardzo ważny, ale to tylko jedna pozytywna przesłanka – swoją wizję trzeba umieć po prostu sprzedać. A jest to tym trudniejsze, że chociażby na polskim rynku dużą rolę wciąż odgrywa cena. Jeśli szyjemy w Polsce, w porządnym szwalniach, zatrudniających ludzi na uczciwych warunkach, koszty muszą być i będą odczuwalne.

Na koniec zapytam się z czystej męskiej ciekawości – czy panie robiąc zakupy odzieżowe faktycznie kierują się obowiązującymi aktualnie trendami modowymi czy też raczej dobierają rzeczy pod własne upodobania?

Z reguły kierują się swoim instynktem, co jest jak najbardziej OK, natomiast oczywiście nie wszystko każdemu pasuje. W butikach staramy się być fair, nie sprzedajemy nic na siłę i jeśli widzimy, że pani wybierając jakąś sukienkę, robi błąd, mówimy to. Ale zdarza się też, że klientka przychodzi do nas, mając już upatrzoną jedną rzecz, a po przemyśleniach i konsultacji z nami wybiera jednak coś innego. Tu uwidacznia się jeszcze jedna przewaga zakupów stacjonarnych nad internetowymi. Widząc na miejscu panią, jej sylwetkę, kolor włosów czy oczu, łatwiej jest nam doradzić i coś zasugerować.



„Ubieramy się nie dla spełnienia czyichś oczekiwań, lecz dla siebie i dla własnego dobrego samopoczucia” (fot. Paulina Hinz)

Instruktorzy
w tanecznych
pozach
(fot. Piotr
Janura)



STUDIO TAŃCA ARTISTIC

RZUĆ WSZYSTKO i ChODŹ ZatAńCzyć

Paweł Durkiewicz

„O tańcu nie da się pisać. (...) Taniec trzeba tańczyć” – zawyrokował w jednej ze swoich powieści Paulo Coelho. Na przekór cesarzowi aforyzmu podjąłem się próby pisemnego minireportażu o Studiu Tańca Artistic, działającym w Garnizonie. Postaram się więc zachować tempo, nie gubić kroków, a nawet zadbać o stosowne pointy.

Taniec to bez wątpienia jedno z najważniejszych i najpowszechniejszych zjawisk kulturalnych, nic więc dziwnego, że Artistic jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych punktów Garnizonu Kultury. Na pierwszym piętrze budynku przy ul. Słowackiego 21 swoje umiejętności szlifują setki tancerzy w różnym wieku (2-70 lat) i o różnych upodobaniach – wśród dostępnych kursów są m.in. modern jazz, lyrical jazz, street dance, akrobatyka, stretching czy najnowsze w ofercie vogue.

ZACZNIJ OD BA... LETU

Najbardziej klasyczną formą tańca nauczaną w szkole, a zarazem jej specjalnością, jest jednak balet, cieszący się zresztą największym zainteresowaniem. Nie może być inaczej, skoro założycielką

i spiritus movens szkoły jest Agnieszka Janura. Utytulowana tancerka może pochwalić się wieloma gromko oklaskiwanymi występami solistycznymi na deskach Teatru Wielkiego w Warszawie i Opery Bałtyckiej w Gdańsku. Balet to jej wielka pasja, choć do 8. roku życia sposobiała się raczej do kariery florecistki - była nawet w jednej klasie Gdańskiej Szkoły Floretu z późniejszą medalistką olimpijską Sylwią Gruchałą.

Agnieszka ma też zacięcie pedagogiczne i uwielbia pracę z dziećmi. Od wielu lat pomaga rozwijać taneczną pasję nawet kilkuletnim maluchom, z którymi potrafi nawiązywać dobry kontakt.

Z jednakowym powodzeniem wpaja też podstawy baletu dorosłym chętnym na nową przygodę.

- Ma oczy dookoła głowy. Mimo, że ćwiczymy razem w dużej grupie, każdego traktuje indywidualnie i zwraca uwagę na różne rzeczy. Robi to jednak w przystępny sposób i w ogóle nie wzbudza poczucia, że robimy coś źle - słyszę od Kamili, jednej z początkujących kursantek.

Właśnie pozytywne metody nauczania i swobodny klimat na kursach odróżnia Artistic od szkół baletowych, gdzie na zajęciach panuje często mocna dyscyplina, nawet w przypadku najmłodszych dzieci.

- Ten stereotyp jest prawdziwy. Mam za sobą dziewięć lat nauki codziennych ćwiczeń, zwieńczone dyplomem państwowym, więc wiem coś o tym - przynajmniej Agnieszka Janura. - My mamy do tańca inne podejście. Liczy się pasja, radość ruchu, kreowanie wyobraźni. Razem wchodzimy w ten świat i nigdy nie robimy niczego na siłę. Oczywiście, przy okazji staramy się poprawić postawę, gibkość ciała czy sylwetkę. Ale przede wszystkim liczy się miła atmosfera i nauka poprzez zabawę, czy to dla dzieci czy dorosłych.

ZŁAPAĆ RYTM PO PAUZIE

Przyjazna atmosfera i bogata oferta sprawiły, że po rozpoczęciu działalności w 2015 r. Studio Artistic szybko stało się jednym z najważniejszych punktów na tanecznej mapie Trójmiasta. Wpływ na to mieli też niewątpliwie inspirujący instruktorzy, profesjonalni tancerze trójmiejskich scen. Wśród nich jest m.in. Bartłomiej Pankau, zwycięzca pierwszej edycji programu „Mam Talent”, który w Artistic prowadzi zajęcia z akrobatyki. Obecnie szkoła z mozołem odbudowuje swój rytm życia w trudnych warunkach, jakie narzuciła pandemia.



Zajęcia baletowe doskonale wspierają rozwój ruchowy u dzieci (fot. Piotr Janura)



„Uczymy, jak słuchać podpowiedzi, które daje muzyka” (fot. Piotr Janura)



Studio Tańca Artistic na scenie Starego Maneżu (fot. Piotr Janura)

- Przed marcem 2020 w naszym studiu tygodniowo przewijało się niemal tysiąc osób. Mieliliśmy kolejki osób czekających aż zwolni się szafka w szatni. Jedna wielka rodzina – wspomina Agnieszka. – Coroczną tradycją były nasze występy w Starym Maneżu. W maju dawaliśmy dwa pokazy baletowe, na każdym z nich na widowni było po ok. 800 osób. Zapełnialiśmy cały Garnizon Kultury i było to prawdziwe święto. Nasi sąsiedzi z Pobitych Garów prosili nas, żebyśmy uprzedzali ich przed takimi imprezami, ponieważ musieli uruchamiać dodatkową pomoc kuchenną, żeby nadążyć z zamówieniami. W czerwcu były z kolei występy niemal wszystkich grup na zakończenie sezonu. Potem pandemia zrobiła swoje i w ostatnich dwóch latach musieliśmy zrezygnować z naszych spotkań. Moje wielkie marzeniem na ten rok jest takie, żebyśmy znów mogli powrócić do Maneżu i znów dać show.

TANIEC CI WSZYSTKO WYBACZY

Początek nowego roku zawsze jest okazją, by spróbować nowych aktywności, a – jak podkreśla Agnieszka, każdy moment życia jest dobry na „pogodzenie się” z tańcem.

- Nie ma żadnych ograniczeń czasowych. Nawet, jeśli ktoś przez całe dotychczasowe swoje życie na dyskotekach podpierał ścianę – uśmiecha się założycielka studia. – Zawsze zaczynamy od rzeczy

podstawowej, czyli wycucia rytmu. Uczymy, jak słuchać podpowiedzi, które daje muzyka, i jak zgrać to ze swoim ciałem. Potem taka osoba czuje się pewniej. Udaje się to osiągnąć praktycznie zawsze. Oczywiście, widzimy często u nowicjuszy pewną obawę, może zawstydzenie, ale jesteśmy dobrymi psychologami z wieloletnią praktyką! Każdy ma swoje metody, by przełamać bariery. Ja np. staram się powoli i spokojnie tłumaczyć wszystko, od palca u nogi po czubek głowy.

- Na zajęciach zaskoczyło mnie, że nawet będąc już osobą dorosłą, można cały czas niesamowicie rozwijać możliwości swojego ciała - mówi Patrycja, uczestniczka kursu baletu dla początkujących. – Chodzę na zajęcia od dwóch miesięcy, wcześniej długo myślałam o baletcie, jednak zdawało mi się, że zaczynać powinno się raczej wcześniej w dzieciństwie. Ale okazuje się, że niekoniecznie. Uczestnictwo w zajęciach na pewno daje dużą satysfakcję i na każde kolejne spotkanie chodzę z wielką frajdą.

„Późnorozwojowcy” nie muszą wcale ograniczać się do tańca rekreacyjnego, na co są przykłady. Jeden z kursantów Artistika swoją przygodę z baletem rozpoczął w dość późnym wieku 17 lat, a mimo to już po dwóch latach z sukcesem zdał egzaminy do prestiżowej szkoły tańca współczesnego w Szwajcarii. Obecnie tańczy w Londynie.

Efektowne kariery czy laury zdobywane przez tancerzy nie są jednak celem studia, co podkreśla Agnieszka Janura.

- Nie ukrywam, że nie jestem zwolenniczką konkursów tańca – stwierdza. – Bierze w nich udział wiele szkół, bo nie da się ukryć, że „wychowanie” zwycięzców to dla nich ładna wizytówka. Natomiast oglądając tego typu zawody, nie widzę sztuki. Uczestnicy starają się zmieścić w swoim występie jak najwięcej figur, szpagatów i gwiazd, by zdobyć jak najwięcej punktów, co sprawia, że więcej w tym sportu. A taniec ma wychodzić z serca.

Agnieszka Janura w swoim dorobku ma występy w Teatrze Wielkim w Warszawie (fot. Piotr Janura)



Dariusz Szreter



Legendarny frontman zespołu Ian Anderson w swojej charakterystycznej koncertowej pozie, maj 1982 (fot. AP/EastNews)

JETHRO TULL: SZALEŃSTWO NA JEDNEJ NODZE

Ian Anderson zaczął grać rocka na flecie, by skupić na sobie uwagę publiczności i skraść show zdolniejszemu koledze z zespołu. W ten sposób zrodziło się niepowtarzalne brzmienie Jethro Tull – grupy, która nagrywa i koncertuje z powodzeniem od ponad półwiecza i która w tym roku wystąpi w Starym Maneżu.

Jethro Tull zalicza się do drugiej fali brytyjskiego rocka, którą tworzyli „młodszy bracia” Beatlesów i Rolling Stonesów - muzycy urodzeni krótko po wojnie. Wchodzili oni na profesjonalną scenę tuż po przełomie roku 1966, kiedy za sprawą takich albumów jak „Revolver” The Beatles, „Aftermath” The Rolling Stones, „John Mayall’s Bluesbreakers with Eric Clapton” Johana Mayalla czy „Fresh Cream” supergrupy Cream, rock zaczął dojrzewać. W miejsce prostych przebojów opartych o schematy rock’n’rolla i rhythm’n’bluesa, zaczęto nagrywać dłuższe utwory, poszerzano instrumentarium, inspiracji szukając w oryginalnym czarnym bluesie, folku, jazzie, ale także piosenkach wodewilowych czy muzyce klasycznej. Rodziła się psychodelia, hard rock, rock progresywny. Jednocześnie zamiast pisać naiwne wersy o pierwszej miłości i trzymaniu za rękę, ośmieleni przez Boba Dylana młodzi rockmani, jeśli w tekstach dzielić się ze słuchaczami własnymi doświadczeniami i obserwacjami, nierzadko komentując bieżące wydarzenia społeczne i polityczne, nie unikając też odniesień do klasycznej literatury.

HOŁD DLA ROLEKSA

Utworzony w 1967 roku w Luton zespół Jethro Tull próbował rozpychać się na prężnej wówczas brytyjskiej scenie blues-rockowej. I miał ku temu mocny argument w postaci niezwykle zdolnego gitarzysty Micka Abrahamsa. To on, a nie późniejszy emblematyczny lider zespołu Ian Anderson, wyrastał początkowo na frontmana grupy. Ambitny Anderson nie mógł tego ścierpieć. Granie drugich skrzypiec (czyli w tym konkretnym wypadku bycie gitarzystą rytmicznym) to nie była rola dla niego. By zwrócić na siebie uwagę publiczności zamienił gitarę na flet. Podobno pierwszy raz odważył się wyjść z nim na scenę po ledwie dwóch tygodniach nauki gry.

- Każdy kolejny występ to była dla mnie nowa lekcja - wspominał.

Wbrew temu co się sądzi, Anderson nie był pierwszym muzykiem, który grał rocka na flecie. Na debiutanckiej płycie zespołu Manfreda Manna „Five Faces of Manfred Mann” z 1964 znalazła się się bluesowa kompozycja „Without You”, w której pojawia się krótkie solo na flecie, w wykonaniu Mike’a Vickersa, nominalnie gitarzysty zespołu. Te 15 sekund to jakby późniejsze Jethro Tull w pigułce. Jak to się stało, że ani lider, ani Vickers nie wpadli na to, by szerzej wykorzystać ten efekt, pozostanie ich słodką, a może raczej gorzką, tajemnicą.

Ian Anderson uwagę widzów przyciągał również poza, jaką przybierał na scenie: grał stojąc na jednej nodze w wielkiej postrzępionej jesionce. Ten ciepły płaszcz, подарowany mu przez ojca, traktował jako strój całodzienny, bowiem członków grupy, wspólne wynajmujących mieszkanie w Londynie, nie stać było na opłacenie ogrzewania.

Tamte chude lata Anderson opisał w piosence „We Used to Know”. Utwór

ten zapisał się jednak w dziejach rocka z zupełnie innego powodu. Gdy w 1976 grupa Eagles nagrała swój wielki przebój „Hotel California”, wykorzystała w nim sekwencję akordów do złudzenia przypominającą tę z „We Used to Know”. Ponieważ oba zespoły w 1972 roku odbyły wspólną trasę po USA, wydawało się wysoce prawdopodobne, że Kalifornijczycy znali kompozycję Andersona. Inna sprawa, że autorem muzyki „Hotelu California” jest Glen Frey, który do Orłów dołączył dopiero w 1974...

Sam Ian Anderson pytany o podobieństwo, odrzucał sugestię, że to plagiat.

- Traktuję to co najwyżej jako wyraz hołdu z ich strony, tak jak ten mój czasomierz, jest hołdem dla Roleksa - żartował w charakterystyczny dla siebie sposób, pokazując tani zegarek na przegubie ręki.

TAK BYŁO

Wróćmy jednak do początków kariery Jethro Tull. Przepustką do sławy stała się dla nich seria koncertów w słynnym londyńskim klubie Marquee oraz



Rok 1969. Nazwa zespołu Jethro Tull to nazwisko XVIII-wiecznego angielskiego pioniera agronomii (fot. Photoshot/REPORTER)

udany występ na National Jazz and Blues Festival w Sunbury-on-Thames w sierpniu 1968 roku. W tym czasie zespół nagrywał już materiał na swoją pierwszą dużą płytę. Choć autorem bądź współautorem większości kompozycji był Anderson, znaczący wpływ na jej oblicze wciąż jeszcze miał Abrahams. Bluesowe, a chwilami nawet jazzowe brzmienie jego 9-strunowej gitary definiuje tamto Jethro Tull co najmniej w takim samym stopniu, jak flet i oryginalny sposób śpiewania Andersona. Ten ostatni nie był jednak zadowolony ze stylu narzuconego przez gitarzystę. Chciał otworzyć grupę na inne gatunki muzyczne, więcej eksperymentować. Dlatego debiutancki album zatytułował „This Was” - tak było, a w domyśle: teraz będzie inaczej. Stało się jasne, że zespół jest za mały dla obu panów A. Abrahams odszedł. Czas pokazał, że racja była po stronie Andersona. Założony przez Abrahamsa blues-rockowy zespół Blodwyn Pig po nagraniu dwóch obiecujących płyt rozpadł się i od tego czasu gitarzysta

funkcjonuje na obrzeżach showbiznesu. Początkowo Abrahamsa miał zastąpić Tony Iommi. Ten po kilku tygodniach uznał jednak, że to nie jego klimat i wrócił do rodzinnego Birmingham, do starych kumpli, z którymi chwilę później wystartował pod szyldem Black Sabbath. Drugi wybór okazał się jednak trafiony w dziesiątkę. Martin Barre, niedoszły architekt (nie zrobił dyplomu, bo oblał hiszpański i fizykę atomową), gitarzysta-samouk, grywający także na mandolinie, flecie i saksofonie, okazał się idealnym partnerem dla Andersona. Współpraca tych muzyków przetrwała aż do 2011.

ZACZNIJ OD BACHA

Nagrany na wiosnę 1969 roku album „Stand Up” zdefiniował styl nowego Jethro Tull: miks elektrycznego rocka z akustycznymi brzmieniami odwołującymi się do brytyjskiego folku, ale też dworskiej muzyki renesansowej i barokowej. A nad tym wszystkim flet i niepodrabialny wokal Iana Andersona. Płyta

trafiła na szczyt brytyjskiego zestawienia najlepiej sprzedających się longplayów, a pochodząca z niej jazzująca transkrypcja bouree e-moll Jana Sebastiana Bacha, do dziś pozostaje jednym z najbardziej rozpoznawalnych i najbardziej lubianych utworów grupy.

Kolejne albumy: „Benefit” (1970) oraz - przez większość krytyków i fanów uznawany za szczytowe osiągnięcie grupy - „Aqualung” (1971) umocniły ich pozycję, jako jednego z czołowych zespołów brytyjskiej sceny progresywnej. Potwierdził ją „Thick as a Brick” koncept-album z 1972 roku, zawierający jedną 43-minutową kompozycję rozciągającą się na obie strony płyty.

Każda udana seria ma jednak swój kres. Począwszy od „Passion Play” z 1973 notowania grupy u rodzimych krytyków zaczęły gwałtownie spadać. Zespołowi zarzucono irytującą pretensjonalność, przeładowane aranżacje, nonsensowność tekstów. Na szczęście dla Andersona i spółki wyrobili sobie oni wcześniej mocną pozycję na rynku



Jethro Tull zalicza się do drugiej fali brytyjskiego rocka, którą tworzyli „młodszy bracia” Beatlesów i Rolling Stonesów (fot. EastNews)

amerykańskim, co pozwoliło im prze-trwać gorszą passę w ojczyźnie.

W dalszym ciągu mogli też liczyć na publiczność koncertową. Niezwykły image i teatralna oprawa sceniczna, obok świetnej muzyki, od początku stanowiły o sile zespołu. W tej dziedzinie Anderson i koledzy świadomie poszli pod prąd. Nie epatowali męskim seksapilem. Przeciwnie. Pozowali na nieco szalonych outsiderów. Na okładce debiutanckiego albumu zaprezentowali się w siwych perukach, ucharakteryzowani na sędzi-wych włóczędzów. Okładkę drugiej płyty zdobiły ich mocno przerysowane karykatury. Na scenie nosili ekscentryczne, często pseudo-histeryczne kostiumy: trubadurów, błaznów, piratów. Anderson w przerwach między piosenkami zabawał publiczność żarcikami, a śpiewając - żywiłowo gestykułował, kręcił młynka fletem, robił dziwne miny przewracając przy tym oczami. Jako jedni z pierwszych Jethro Tull wykorzystywali też podczas występów na żywo techniki wideo.

AUTOMAT PERKUSYJNY I GŁOŚNE MANDOLINY

W połowie lat 70. uformował się najsilniejszy bodaj skład zespołu, który - obok Andersona i Barre'a - stanowili: basista John Glascock, perkusista Barriemore Barlow oraz grający na klawiszach John Evan i David Palmer (od 1998 - po zmianie płci - Dee Palmer). Nagrana przez ten sextet w 1977 r. płyta „Songs from the Wood” oznaczała powrót do wysokiej formy i kolejny zwrot stylistyczny, tym razem w kierunku brytyjskiej muzyki ludowej. W wykonaniu Jethro Tull był to folk „na bogato” z organami,

syntezatorem, mandolinami, ksylofonem, cymbałkami. A jednocześnie była to niezwykle radosna, skoczna muzyka. Ten kierunek kontynuowały albumy „Heavy Horses” i „Stomwatch”.

Przedwczesna śmierć cierpiącego na wrodzoną chorobę serca Johna Glascocka, który - choć najmłodszy stażem - stał się „dobrym duchem” zespołu, wywołała lawinę zmian. Anderson zwolnił pozostałych muzyków, z wyjątkiem Barre'a i z nową ekipą, w której znalazł się m. in. znany z Roxy Music i UK klawiszowiec i skrzypek Eddie Jobson, zabrał się za przygotowanie swojej pierwszej płyty solowej. Album „A”, ostatecznie wydany jednak pod szyldem Jethro Tull, zdominowało brzmienie syntezatorów. Jeszcze dalej w kierunku elektroniki poszła płyta „Under Wraps” (1984), której rytm napędzała automatyczna perkusja. Mimo zmasowanej krytyki - „Under Wraps” powszechnie uchodzi za najgorszą płytę w ich dyskografii - oraz ostrzeżeń lekarzy, Anderson, z chorym gardłem, zdecydował się promować to dzieło trasą koncertową. Zakończyło się to dla niego koniecznością długotrwałej rekonwalescencji, a dla zespołu prawie trzyletnią przerwą w działalności. Być może jednak czas ten pozwolił Andersonowi na przemyślenie kolejnych kroków. W efekcie następny album „Crest of a Knife” - mimo głosów zarzucających mu pewną wtórność wobec dokonań Dire Straits - przyniósł sukces komercyjny i nagrodę Grammy za... heavymetalowy album roku. Ich zwycięstwo w takiej kategorii, kosztem m. in. „...And Justice for All” Metalliki, uznano za jedno z największych nieporozumień i rozczarowań

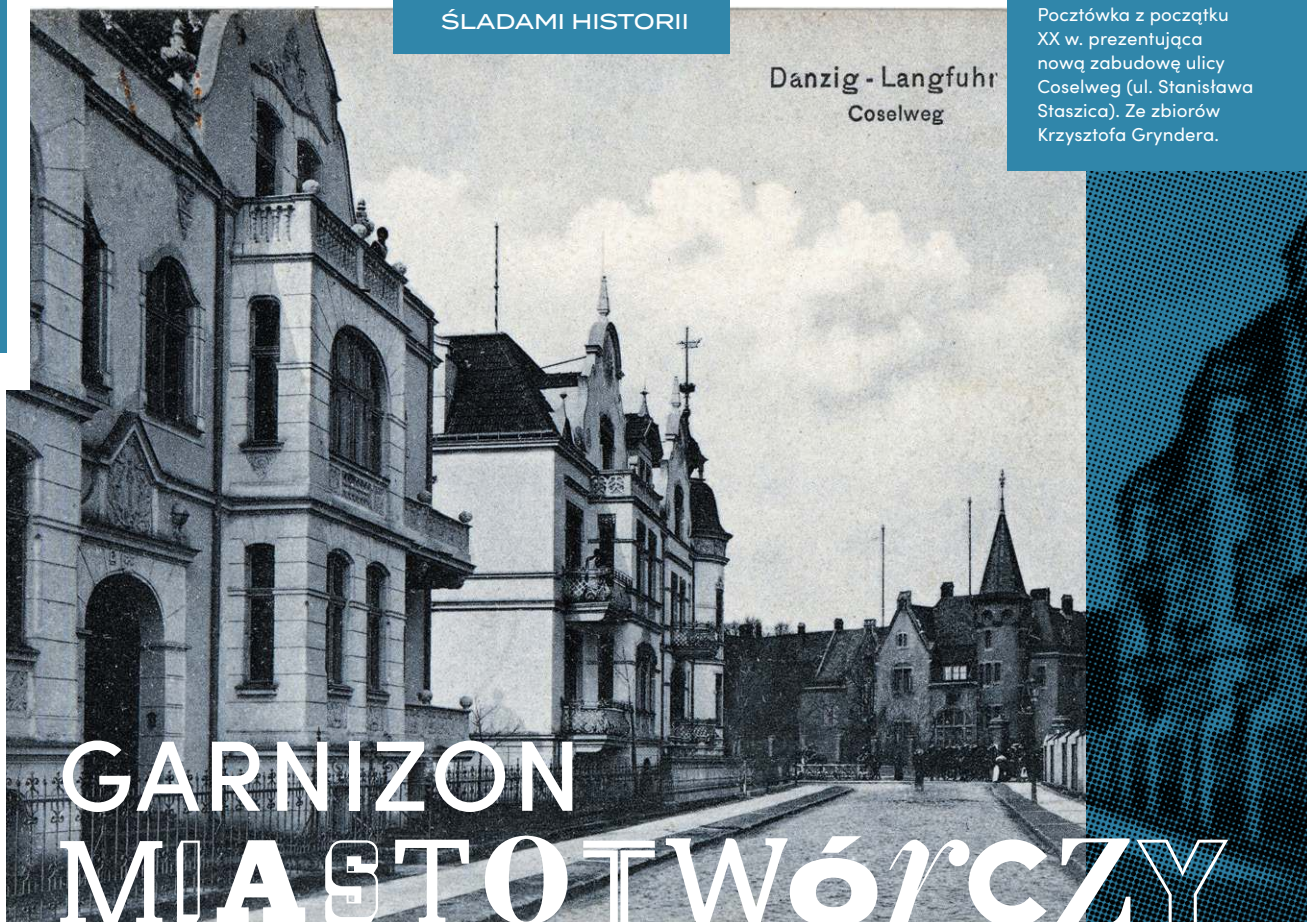
w dziejach Grammy. Oczywiście zespół nie był temu winien, a skandal próbował obrócić na swoją korzyść. - Rzeczywiście, czasem gramy na naszych mandolinach naprawdę głośno - komentował Anderson. A ich wytwórnia, Chrysalis, wykupiła w najważniejszych branżowych pismach reklamę przedstawiającą flet leżący na kupie złomu z podpisem: „Flet jest ciężkim, metalowym instrumentem”.

NIGDY ZBYT STARY NA ROCK'N'ROLLA

Ostatnia płyta Jethro Tull z premierowym materiałem trafiła na rynek w 1999 roku. Przez kolejnych kilkanaście lat zespół jeszcze koncertował i wydał album z piosenkami bożonarodzeniowymi. W 2012, w 40. rocznicę wydania „Thick as a Brick” Ian Anderson, z kilkoma muzykami Jethro Tull, ale bez nieodłącznego do tej pory Barre'a, nagrał drugą część tego concept-albumu. Opublikował go pod własnym nazwiskiem, podobnie jak kolejne płyty. Z własnym zespołem stary materiał Jethro Tull na żywo ogrywa także Martin Barre. Z wypowiedzi obu panów wynikało, że nowych płyt ani koncertów pod starym szyldem już nie będzie. Najwyraźniej jednak Ian Anderson zmienił zdanie w tej kwestii, bo do Starego Maneżu zaprosi nas znów jako lider Jethro Tull, by przedstawić zarówno materiał z najnowszej, 22. studyjnej płyty zespołu „The Zealot Gene”, jak i najsłynniejsze numery grupy z lat wcześniejszych. Wśród nich pewnie także przebój z 1976 z proroczym refrenem: „Nigdy nie jesteś za stary na rock'n'rolla, jeśli wciąż jesteś zbyt młody na śmierć”.

DARIUSZ SZRETER – gdański publicysta, przez ćwierć wieku związany z „Dziennikiem Bałtyckim”, obecnie w tygodniku „Zawsze Pomorze”. Prowadził audycje muzyczne w Radiu Gdańsk i Gdynia Radio. Współautor filmu dokumentalnego „Czy mnie jeszcze pamiętasz?” o gdańskich początkach kariery Czesława Niemena.





GARNIZON MIASTOTWÓRCZY

Dzięki powstaniu, a następnie rozbudowie kompleksu koszar dla słynnych „Czarnych Huzarów”, we Wrzeszczu i Strzyży Górnej pojawiły się nowe osiedla. Wpierw na początku XX wieku, następnie w okresie międzywojennym.

Garnizony zawsze miały (i w ograniczonym zakresie mają nadal) funkcje miastotwórcze. Budowa kompleksów wojskowych - koszar, magazynów, budynków administracyjnych, poligonów itp. - pociągała za sobą zawsze nowe inwestycje, w pierwszej kolejności drogi czy linie kolejowe. Wymuszała także powstanie nowych mieszkań (zazwyczaj w bliskim sąsiedztwie) oraz odpowiedniego zaplecza dla obsługi wojska (sklepów, warsztatów, restauracji itp.), a w dłuższej perspektywie także rozwój szkolnictwa, kultury czy sportu w okolicy (zarówno na potrzeby chociażby rodzin wojskowych,

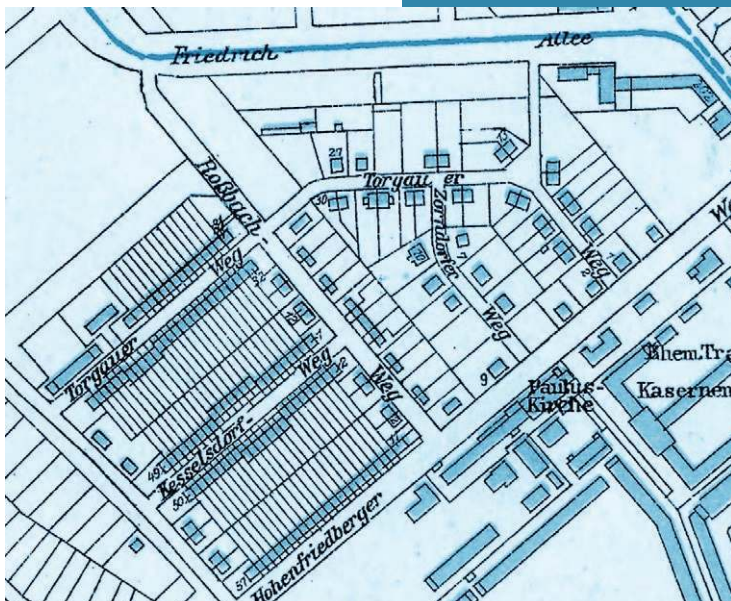
jak i w związku z generowaniem tych aktywności przez samych żołnierzy, oficerów i urzędników wojskowych). Nie inaczej było z największym kompleksem koszarowym w Strzyży Górnej, który powstał w latach 90. XIX w., a następnie dwukrotnie (wpierw na przełomie XIX i XX w., a następnie krótko przed wybuchem I wojny światowej) został rozbudowany.

MIASTOTWÓRCZA ROLA GARNIZONU

– PO RAZ PIERWSZY

Na początku XX wieku, w związku z finalizowaną budową nowego

kompleksu koszar „Czarnych Huzarów”, rozparcelowano, a następnie szybko zabudowano teren dawnego majątku Strzyży Górnej (*Gut Hochstrieß*), znajdującego się dosłownie po drugiej stronie obecnej al. Żołnierzy Wyklętych (wówczas *Brentauer Chaussee*). Wytoczono szereg nowych uliczek, tj. obecne: ul. Obywatelską, ul. Hugo Kołłątaja, ul. Stanisława Staszica, ul. Stanisława Małachowskiego oraz ul. Jana Dekerta. Powstały przy niej kilkunastu kamienice (oferujące jednak dość komfortowe mieszkania), jak i wolnostojące, okazałe wille. Te ostatnie, zważywszy na doskonałą, prestiżową lokalizację, były początkowo wynajmowane głównie jako mieszkania dla oficerów pełniących służbę w pobliskich koszarach. Pod adresem *Hennersdorfer Weg 1* (ul. Stanisława Małachowskiego 1) mieszkał słynny dowódca Przybocznej Brygady Huzarów (od 1908 r. do 1914 r. dowódca całego XVII Korpusu Armijnego) gen.



Fragment planu Gdańska z 1933 r. prezentujący Schuposiedlung i najbliższą okolicę. Ze zbiorów The University of Chicago Library.



i na północy Wrzeszcza. W tym czasie na ukończeniu była rozbudowa koszar batalionu taborów, trwały także prace budowlane nad położonym nieco dalej w kierunku Oliwy koszarowcem dla oddziałów broni maszynowej (w tym miejscu stoi dziś biuro gdańskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej). Po drugiej stronie linii kolejowej stały już nowe budynki bazy lotniczej, a w zasadniczym stopniu ukończony był już kompleks koszar dla batalionu telegrafistów (historyczna zabudowa przy al. Legionów). Projekt wspomnianego, nowego szpitala garnizonowego wstępnie planowano przygotować do końca 1914 r., a samą inwestycję rozpocząć w 1915, zakończyć zaś w 1917 lub 1918. Ostatecznie nowy szpital nie powstał na obrzeżach Strzyży Górnej z powodu wybuchu I wojny światowej. Najzwyczajniej zabrakło środków, a później – po zakończeniu konfliktu i w perspektywie demilitaryzacji Gdańsk – nie było sensu nawet jej rozpocząć.

SPECJALNA SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA

Uwagę na omawiany teren zwróciło gdańskie Stowarzyszenie Funkcjonariuszy

Policji Ochronnej (*Vereinigung der Schutzpolizeibeamten*), które szybko, bo już w latach 1921-1922, nabyło omawianą działkę na własność w celu budowy nowego osiedla mieszkaniowego przeznaczonego dla członków organizacji. Jednak z powodu szalejącej inflacji plany wymagały pewnej korekty i dopiero wiosną 1924 r. ruszyły prace budowlane.

Równocześnie uruchomiono specjalny program oszczędnościowy dla partycypujących w projekcie policjantów. Każdy był zobligowany do przesyłania na fundusz z góry ustalonej sumy, uzależnionej od stopnia policyjnego. Założono ponadto Urzędniczą Spółdzielnię Małego Osadnictwa (*Beamtenkleinsiedlungsgenossenschaft*), która miała inwestycję zrealizować.

BUDOWA SCHUPOSIEDLUNG

Pierwsze dwadzieścia domów w linii *Hohenfriedbergerweg*, czyli współczesnej ulicy Karola Szymanowskiego, udało się ukończyć w zasadniczym stopniu jeszcze pod koniec 1924 r. Uroczyste poświęcenie nowego osiedla miało

miejsce 18 listopada. Zostały one zasiedlone od stycznia do końca marca 1925 r. W tym samym roku oddano do użytku kolejne domy, tym razem dwadzieścia sześć w zabudowie szeregowej i sześć w bliźniaczej. Sfinansowano też niezbędne prace ziemne i wytyczono dwie nowe ulice: *Rosbachweg* (dziś fragment ul. Ludwika Zamenhofa) i *Kesseldorfweg* (ul. Władysława Żeleńskiego). W 1926 r. ukończono kolejne dwanaście domów w zabudowie szeregowej i tym samym zamknięto pierwszy etap całego projektu *Schuposiedlung*. Po zaciągnięciu pożyczki kontynuowano inwestycję. Jeszcze w 1926 r. dobudowano szesnaście domów szeregowych, w 1927 – kolejnych 26, a w 1928 – 15 oraz trzy „bliźniaki”. Druga faza budowy osiedla znalazła finał w 1929 r. wraz z oddaniem do użytku dziesięciu ostatnich domów w zabudowie szeregowej. Łącznie całe osiedle z końcem dekady liczyło 133 domy (211 mieszkań) i było zamieszkiwane przez 256 gdańskich rodzin. *Schuposiedlung* zaprojektował architekt Erwin Lentz. Do budynków mieszkalnych, podobnie jak do większości innych założeń urbanistycznych powstałych w Gdańsku w okresie międzywojennym, przylegały ogrody, pomiędzy którymi poprowadzono wąskie, prostopadłe przejścia do *Huberstusburger Allee* (ul. Bernarda Chrzanowskiego) i *Rosbachweg*.



„bliźniaki” . Projektantem tego nowego założenia był architekt Karl Jacksch. W związku z powstawaniem nowych budynków, jeszcze w połowie lat dwudziestych, rozpoczęto starania, by erygować w tym rejonie parafię ewangelicką, co ostatecznie udało się w 1929 r. Dopiero w 1938 r. oddano do użytku świątynię z prawdziwego zdarzenia.

kompleksu koszarowego – nazwy nawiązujące do historii słynnych „Czarnych Huzarów”. Dziś dawne *Schuposiedlung*, mimo niekiedy daleko idących skutków współczesnych remontów budynków, można jeszcze stosunkowo łatwo rozpoznać po charakterystycznych „schodkowych” zwieńczeniach domów powstałych dawniej dla gdańskich policjantów.



Widok z 1929 r. na zabudowę Torgauer Weg , czyli obecnie ul. Mieczysława Karłowicza. Za: „Danziger Neueste Nachrichten” 26 VII 1929, nr 173 (dodatek „Bauen und Wohnen”), ze zbiorów PAN Biblioteki Gdańskiej.

MIASTOTWÓRCZA ROLA GARNIZONU – PO RAZ TRZECI

Po II wojnie światowej rola miastotwórcza kompleksu koszarowego w Strzyży Górnej (wówczas określanego najczęściej jednak jako „we Wrzeszczu”) była ograniczona. Powstało wprawdzie kilka niewysokich bloków mieszkaniowych między koszarami a al. Grunwaldzką, ale skala tych inwestycji była niewielka, jeśli porównać ją do zmian w krajobrazie dzielnicy, jakie zaszły tak na początku XX wieku, jak w okresie międzywojennym. W istocie dopiero adaptacja opuszczonych przez wojsko zabudowań przez Grupę Inwestycyjną Hossa S.A. sprzed kilku lat spowodowała, że miasto ponownie zmieniło swoje oblicze. W odróżnieniu od poprzednich przypadków, tym razem zabudowa miejska nie powstała wokół dawnych koszar, lecz wkroczyła na teren dawnego garnizonu. Z powodzeniem udało się utworzyć nowe osiedle, w istocie nowy kwartał miasta, tętniący życiem i nową, ciekawą architekturą, współgrającą z zachowanymi, historycznymi obiektami.

ROZWÓJ DZIELNICY

Mniej więcej w tym samym czasie (tj. w 1923 lub 1924) wytyczono i zaczęto rozbudowywać także znajdującą się po drugiej stronie *Roßbachweg*, rozgałęzioną w kształt przypominający literę Y *Torgauer Weg* (późniejszą ul. Mieczysława Karłowicza) oraz *Zorndorfer Weg* (ul. Stefana Kisielewskiego). Przy nich powstały jednak przede wszystkim

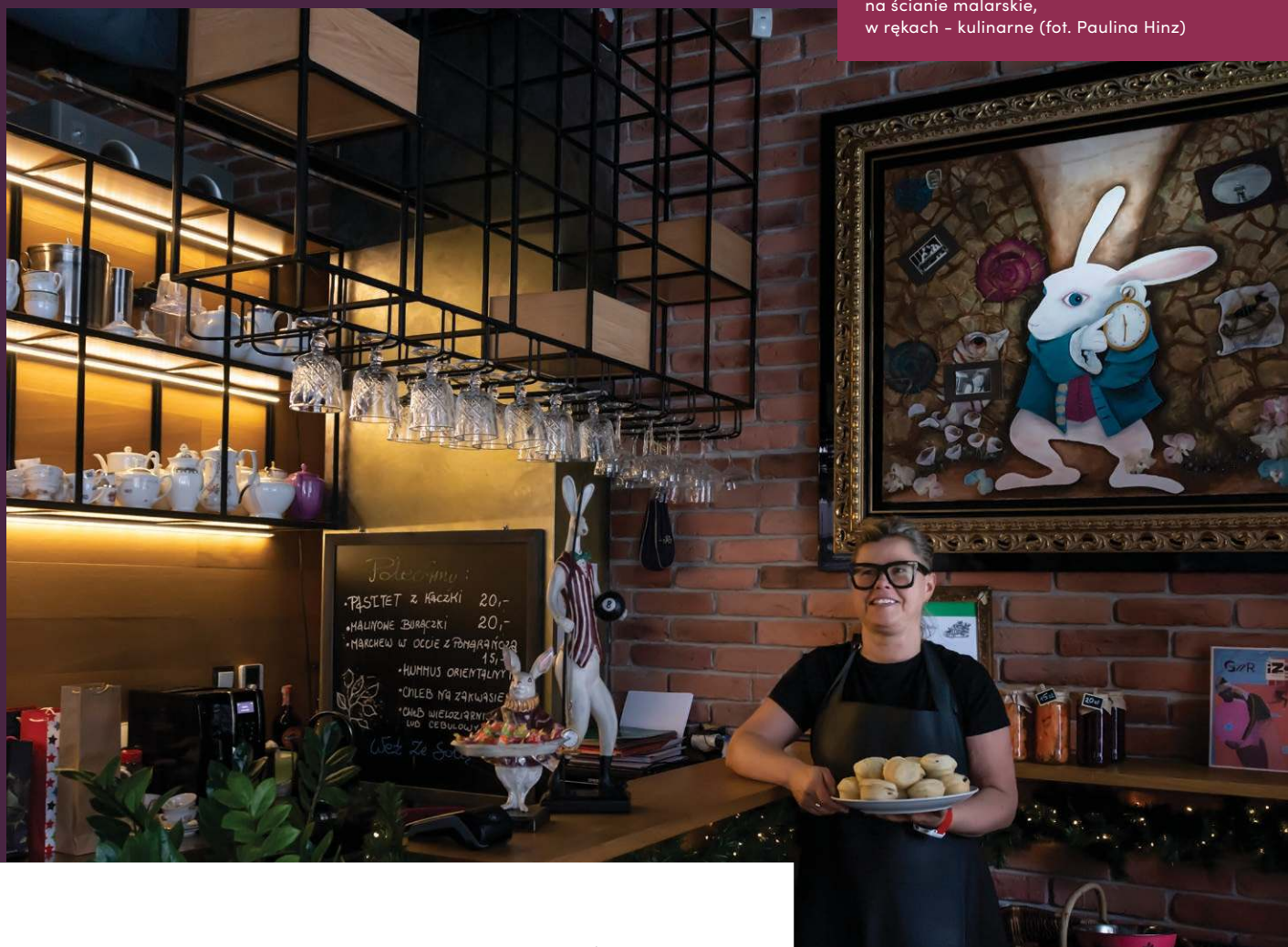
„RESORTOWE” OSIEDLE

W latach trzydziestych policjanci i ich rodziny stanowili zdecydowaną większość mieszkańców na *Hohenfriedbergweg*, *Kesseldorfweg* oraz *Roßbachweg*. Strzyża Górna stała się tym samym najbardziej „resortową” dzielnicą międzywojennego Gdańska, w której pracowali i żyli nie tylko policjanci, ale także celnicy, strażnicy więzienni, zawodowi strażacy czy inni urzędnicy administracji Wolnego Miasta Gdańska. Co istotne, wszystkie ulice, które powstały na nowym osiedlu, zyskały w latach dwudziestych – podobnie, jak na początku XX wieku uliczki znajdujące się po drugiej stronie

JAN DANILUK – dr historii, pracuje w *Hevelianum*. Badacz i popularyzator historii Gdańska i Sopotu (XIX–XX w.), w szerszej perspektywie zajmuje się także historią II wojny światowej oraz Rzeszy Niemieckiej (1933–45). Autor m.in. artykułów historycznych na portalu *Trojmiasto.pl* i współautor publikacji poświęconych historii Wrzeszcza. Strona domowa: www.jandanieluk.pl.



Julia Cybulska ze swoimi dziełami:
na ścianie malarskie,
w rękach - kulinarne (fot. Paulina Hinz)



Królik, KTÓRY GLUTENOWI SIĘ NIE KŁANIA

Znacie Królika? Możecie kojarzyć go z „Alicji w Krainie Czarów”, ale mało kto wie, że jest też w Garnizonie, gdzie na co dzień mieszka w garach w kameralnej i pełnej domowego wdzięku restauracji. Długouchy zna się na jedzeniu i doskonale wie, jak pożenić ze sobą zdrowe ze smacznym. Czuwają nad nim Julia Cybulska i Anna Górská – przyjaciółki, dla których gastronomia jest czymś więcej niż tylko pomysłem na biznes.

W śnieżny grudniowy dzień wchodzimy do niewielkiego lokalu przy trakcie pieszym, łączącym ulice Hemara i Słonimskiego. Właśnie tu, nieco na uboczu, działa restauracja „U Królika”, mająca swoich sympatyków nie tylko w Garnizonie, lecz w całym Trójmieście. Trwa akurat wydawanie zamówień świątecznych, wokół roi się więc od słoików i pudełek, na jednym ze stołów spoczywają zaś apetyczne bezy. Julia i Anna mają pełne ręce roboty (jak co dzień zresztą), ale znajdują chwilę na pogawędkę.

ALICJA PO DRUGIEJ STRONIE GASTRONOMII

Po przekroczeniu progu w lot można pojąć, że nazwa restauracji ma swój



Julia i Anna – przyjaciółki, wspólniczki i pasjonatki kulinariów
(fot. Paulina Hinz)

związek z kultową powieścią autorstwa Lewisa Carrolla. Przy samym wejściu wita nas figurka stojącego na dwóch łapach białego królika, sposobiącego się do partyjki bilarda. Podobne uszate zwierzątko spogląda na nas również z obrazu, namalowanego notabene przez Julię, której drugą pasją, obok sztuki kulinarnej, są właśnie sztuki plastyczne. Przeszklenie w głębi lokalu, z widokiem na kuchnię, zdobią zaś cylindry, należące najwyraźniej do Szalonego Kapelusznika.

- Pomysłów na nazwę i design było dużo, ale wszystkie obracały się wokół Carrollowskiego królika. Ostatecznie padło na „U Królika”, ponieważ... taka domena www była akurat wolna – wspominają z uśmiechem właścicielki, dla których własna, autorska restauracja jest realizacją wspólnego marzenia.

Julia doświadczenie gastronomiczne zdobywała w wielu różnych lokalach, najdłużej - przez 15 lat! – szefowała kuchni restauracji „Rucola” przy gdańskiej ulicy Abrahama. Właśnie tam spotkała Annę, która wcześniej prowadziła swój pub w Sopocie przy ul. Chopina. Po zadziergnięciu znajomości szybko pojawił się pomysł, by razem stworzyć nowy koncept.

„CZEGO PAŃSTWU NIE PODAWAĆ?”

- Od samego początku chcieliśmy, aby kojarzono nas ze zdrowym jedzeniem, opartym na świeżych produktach. Zależało nam na tym bardziej niż na ukierunkowaniu w stronę jakiejś konkretnej tradycji kulinarnej, określonej geograficznie - wspomina Anna. - Postawiliśmy więc na kuchnię bezglutenową, która z definicji pozbawiona jest mąk czy makaronów, zawiera za to sporo warzyw, owoców i produktów z nich zrobionych. Mimo że żadna z nas nie ma problemów z tolerancją glutenu, zawsze chętnie sięgałyśmy po bezglutenowe przepisy, właśnie ze względu na właściwości zdrowotne i mniejszą ilość węglowodanów. Wiedziałyśmy też, że zapotrzebowanie na tego typu ofertę jest coraz większe.

Wylimitowanie z listy składników kłopotliwego białka (obecnego choćby w ziarnach w pszenicy) nie rzutuje na bogactwo repertuaru „Królika”. Wprost przeciwnie - karta przygotowana została z myślą o różnych kulinarnych upodobaniach. Stałe menu – w tym bestsellery takie jak sandacz w tempurze, kurczak mango-curry czy placki gryczane



Dania urzekają nie tylko smakiem, ale i formą podania
(fot. materiały prasowe „U Królika”)

z grzybami i kozim serem – uzupełniane jest co kilka miesięcy pozycjami sezonowymi. Codziennie pojawiają się też nowe propozycje lunchowe.

- Fakt, że cała nasze menu ma certyfikowaną etykietę „gluten-free”, mocno pomógł nam zwłaszcza na samym początku, gdy większość naszych gości stanowiły osoby, które ze względów zdrowotnych nie mogły lub nie chciały spożywać glutenu. U nas czują się bezpiecznie – dodaje Julia. – Nie dotyczy to zresztą tylko glutenu. Śmiejemy się czasami, że prowadzimy

trochę knajpkę, a trochę poradnię. Każda rozmowa z gościem zaczynała się od pytania, co jeszcze powinniśmy pominąć w przyrządzaniu dania. Oczywiście w miarę możliwości dostosowujemy się do wszelkich oczekiwań, nabyliśmy zresztą sporą wiedzę na temat różnego rodzaju nietolerancji czy alergii. Z czasem pojawiało się u nas coraz więcej takich osób, dla których gluten był raczej obojętną kwestią – chcą one po prostu zdrowo i smacznie zjeść.

WEGANIZM NIEWOJUJĄCY

Choć obie właścicielki restauracji „U Królika” już od dawna pozostają wierne diecie wegetariańskiej, lubią serwować gościom także i potrawy zawierające mięso. Burger wołowy jest zresztą jednym z najczęściej wybieranych dań. - Z naszych obserwacji wynika, że osoby z nietolerancją glutenu czy laktozy często po prostu nie chcą już sobie dokładać kolejnych ograniczeń – mówi Anna. – Trzeba przyznać, że i tak mają w życiu ciężko, dobierając sobie posiłki, więc obie doskonale rozumiemy, że chociaż w ten sposób chcą sobie dogodzić. Stąd u nas burger, polędwica wołowa czy dania z drobiem.

ORIENTALNE INSPIRACJE

„Królik” ma też swój specjał w karcie napojów – to niezwykle aromatyczna kawa po żydowsku, w wersjach z kardamonem, olejem różanym lub piernikową. Podawana w charakterystycznym tygielku, znacznie różni się smakiem od standardowych kaw serwowanych w Polsce.

- W naszym menu jest ona od samego początku – dopowiada Julia. – Wzięło się to stąd, że gdy przymierzałyśmy się do otwarcia lokalu, przewijał się pomysł, by skoncentrować się na kuchni bliskowschodniej. Koniec końców postawiliśmy na wszechstronność, jednak kilka pozycji, w tym właśnie kawa, pozostało w karcie, i to na dobre. Serwis do zaparzania

sprowadziłyśmy z Izraela, z kolei nasz znajomy regularnie dostarcza nam stamtąd ziarna. Przywozi nam też różnorodne przyprawy, które stosujemy np. przyrządzając hummus, również mocno ceniony przez naszych gości.

Innym orientalnym specjałem w karcie jest tażin z kaczką – typowe dla kuchni arabskiej danie, serwowane w tradycyjnym glinianym naczyniu.

DOMOWO-OSIEDŁOWY KLIMAT

Stali bywalcy „Królika” stanowią wierne grono, emocjonalnie związane już z lokalem na dobre i na złe. Doceniają oni z jednej strony autorską kuchnię, a z drugiej zaangażowanie właścicielek, które codziennie wkładają dużo serca w lokal, osobiście stwarzając w nim miłą, niezobowiązującą atmosferę.

- Odculiśmy to mocno w okresie lockdownu, gdy z konieczności wydawaliśmy posiłki jedynie na wynos – wspomina Anna. – Nasi goście o nas pamiętali i często zachodzili po paczkę z ulubionymi daniami. Było to dla nas naprawdę budujące i utwierdziło w przekonaniu, że wybraliśmy na lokal fajne miejsce. Tym milej było w końcu powrócić do normalnego trybu i przyjmowania gości przy stolikach.

Julia: - Choć może zabrzmieć to zaskakująco, w Garnizonie podoba nam się też obecność tak wielu innych restauracji. Oczywiście, jest to dla nas konkurencja, ale jak najbardziej zdrowa. Wiele osób kojarzy tę dzielnicę z dobrą gastronomią i przyjeżdża tu „na obchód”, żeby sprawdzić osobiście, gdzie można tu dobrze zjeść. Korzystają na tym wszyscy.



fot. Paulina Hinz

„ŚWIAT NIE JEST
CZARNO-BIAŁY,
A MY NIE MIESZKAMY
W SZUFLADACH”



LusTrO

Ile razy słyszeliście „nie oceniaj książki po okładce”, a potem „jak cię widzą, tak cię piszą”? Czy nie są to dwa sprzeczne ze sobą przekazy, które są kierowane do nas od najmłodszych lat?

Pamiętam czas moich pierwszych randek. Kiedy stałam przy lustrze, by zobaczyć, czy dobrze dopasowałam ubranie. Moja mama wspierała mnie w tych przygotowaniach i na koniec zawsze dodawała: „Dziecko, zapamiętaj: jeśli na brudno nie zechce, to i na czysto trudno!”. Czy to nie jest piękne? Przecież nie ważne jest to, jak wyglądam. Mój wygląd będzie się zmieniał m.in. od stanu mojego samopoczucia. Raz będę wesółą, a raz smutną. Raz zdrową, a raz chorą. Kiedyś będę miała 90 lat, a na moim licu tysiące utrwalonych zmarszczek, które

będą historią mojego życia. To, że teraz dbam o siebie, o swoje zdrowie, głowę i samopoczucie, nie świadczy o tym, że jest mi to dane na zawsze.

Jestem estetką i lubię otaczać się pięknem. Doceniam formę, kolor i strukturę rzeczy. Tak mam, inni mają inaczej. Ale czy to, co mi się podoba, musi się podobać też innym? Otóż nie! Czy oczekuję tego od innych? Nie. Robię to dla siebie. Czy po tym, jak wyglądamy lub co posiadamy, możemy ocenić innych? Czy znamy życie drugiego człowieka na tyle, by wydać o nim osąd? Jest mnóstwo pisarzy, artystów i wielkich uczonych, dla których w ogóle nie jest istotne, jak wyglądają. A mózgi mają takie, że chciałyby się tam dostać choćby na chwilę.

Są ludzie bezdomni lub chorzy o pięknych umysłach, którzy nie odnajdują się w świecie rzeczywistym. A może to świat nie jest przygotowany na nich?

Jest też druga strona. Czy gdy przywdziejemy piękną szatę, pojeździmy autem za 500 tys., to jesteśmy z tego powodu lepsi? Jakich filtrów użyjemy i w jaki sposób przedstawimy swoją historię na Instagramie? Czy będzie to prawda czy czysta manipulacja?

Świat nie jest czarno-biały, a my nie mieszkamy w szufladach. Dyskryminacja dotyczy dwóch stron. Raz wyglądasz źle, a raz za dobrze. Masz jasny lub ciemny kolor skóry. Kochasz kogoś odmiennej płci lub tej samej. Masz za drogie auto, albo nie masz wcale. Pracujesz jako manager wyższego szczebla w wielkiej korporacji, a może sprzątasz? Jakie to ma znaczenie? Jeśli nie przynosi Ci to szczęścia, zmień to. Jeśli jesteś szczęśliwy z tym, co robisz, jak wyglądasz, co masz i nie wyrządzasz przy tym innym krzywdy, to ciesz się, doceniaj to i żyj najlepiej jak potrafisz! Dla Siebie!



JOANNA MAŁEK - założycielka gabinetu kosmologii SKILNAB. Kosmetolog, promotor zdrowia, wieloletni wykładowca. Pasjonatka kuchni roślinnej, jogi i natury. SKILNAB to nowatorski koncept gabinetu kosmologii ukierunkowany na profesjonalne badanie, wspomaganie leczenia i pielęgnację skóry. W doborze zabiegów skupiamy się przede wszystkim na prewencji i holistycznym podejściu. Terapie zabiegowe są dobierane indywidualnie, na podstawie szczegółowych konsultacji dotyczących trybu i tempa życia.



Wybierając się w góry powinniśmy zadbać o odpowiednie przygotowanie naszych mięśni i stawów.

PRZEZORNY ZAWSZE RozciągnęTY, CZYLI JAK ZABEZPIECZYĆ SIĘ PRZED ZIMOWYMI KONTUZJAMI

Paweł Durkiewicz

Zima to czas, w którym dużą liczbą wyruszamy w góry, by oddać się zjawisku, które ktoś nazwał kiedyś „białym szaleństwem”. Śmiganie na nartach, snowboardzie czy łyżwach rzeczywiście generuje olbrzymie pokłady endorfin, warto jednak zadbać o to, by zabawa na stoku obyła się bez kontuzji. O tym, jak zminimalizować ryzyko urazu, rozmawiamy z Michałem Wysockim, fizjoterapeutą z ProBody Clinic w Garnizonie.

PAWEŁ DURKIEWICZ: Podobno w ostatnich latach do ortopedów i fizjoterapeutów trafia coraz więcej narciarzy i snowboardzistów. Skąd taki trend?

MICHAŁ WYSOCKI: W czasach, w których teraz żyjemy, wiele osób znacząco ograniczyło swoją aktywność fizyczną przez

obostrzenia pandemiczne. Pracownicy biurowi utknęli na pracy zdalnej przy własnych biurkach i niedostosowanych do wielogodzinnego siedzenia krzesłach. Tak samo dzieci, przerabiające lekcje w edukacji na odległość. Skutkuje to oczywiście mniejszą wydolnością, przyrostem masy

ciała, bólami pleców – to wszystko może doprowadzić do zwiększenia ryzyka urazów podczas jazdy na nartach, snowboardzie czy łyżwach, ale także podczas spacerów po wyslizganej nawierzchni.

Jakie są najczęstsze urazy, jakie spotykają nas w zimie?

Narciarstwo oraz snowboard są chyba najbardziej urazowymi spośród powszechnie uprawianych sportów. Porywanie się na te aktywności z marszu jest bardzo ryzykowne. Brak odpowiednio wzmocnionych mięśni i dobrej mobilności może zwiększyć ryzyko poważnych kontuzji – głównie kolan i barków. Mogą to być urazy więzadłowe, tj. zerwania czy naderwania, ale też złamania goleni i urazy barków ze zwichnięciem łącznie. Są to najczęstsze kontuzje narciarzy, będące wynikiem upadków i braku kontroli mięśniowej. Najczęstsze kontuzje na nartach dotyczą kolan, ale pojawiają się także bóle pleców. Narciarstwo wymaga pochylonej pozycji, a bez mocnych pleców i brzucha nie da się jej utrzymać. Na skrętach mamy duże przeciążenia – jeśli nie utrzymamy tego mięśniami brzucha, to poczujemy w plecach. Tu kłania się nam brak całorocznej aktywności fizycznej.



fot. materiały prasowe ProBody Clinic

Jazda na łyżwach jest nieco mniej urazowa dla aparatu więzadłowego, wiążą się natomiast z większą częstotliwością urazów stłuczeniowych.

Co możemy zrobić, by uniknąć przykrewnej niespodzianki na nartach – jakie ćwiczenia uwzględnić w codziennej gimnastyce?

Przygotowując się do zimowych aktywności, niestety nie wystarczy dwa tygodnie wcześniej zacząć robić przysiady. Minimalny czas przygotowania to półtora-dwa miesiące. Trening może być prowadzony w domu z wykorzystaniem dostępnego i niedrogiego sprzętu. Zalecam ćwiczenia z taśmami TRX, które mogą zostać zamontowane nawet we framudze drzwi, a doskonale posłużą do ćwiczeń w tzw. łańcuchach zamkniętych. Korzystne będą wszelkie wypady do przodu, tyłu i do boków, a także przysiady. Również ćwiczenia z gumowymi taśmami oporowymi będą idealnym uzupełnieniem treningu, m. in. unoszenie bioder w leżeniu na plecach oraz odwodzenie kolan w leżeniu na boku. Jest to bardzo bezpieczny trening, który daje nam kapitalną kontrolę i wymusza pełne napięcie mięśni całego ciała.

Oczywiście najlepszym rozwiązaniem jest spotkanie z fizjoterapeutą lub trenerem motorycznym, aby ułożyć odpowiedni plan treningowy i pilnował prawidłowego wykonywania ćwiczeń. Zapraszamy do ProBody Clinic

w Garnizonie na treningi motoryczne, gdzie pod okiem trenera-fizjoterapeuty można skorzystać z treningów wzmacniających do aktywności zimowych i nie tylko.

Jak rozpoznać, że ból jest powodem do niepokoju? Co w pierwszej kolejności zrobić po odniesieniu bolesnej kontuzji?

Każdy ból jest sygnałem od naszego organizmu że dzieje się coś złego. Przy małych problemach, takich jak naderwania mięśni, stłuczenia czy lekkie skręcenia, w zupełności wystarczą wizyty u fizjoterapeuty. Natomiast w przypadku większych urazów - zerwane więzadło krzyżowe w kolanie, uszkodzenie łąkotki czy złamania - konieczna jest również, oprócz wizyt u fizjoterapeuty, konsultacja i opieka ortopedy. W przypadku każdego urazu ważna jest szybka interwencja specjalisty. Przy dokładnej i szybkiej diagnostyce dobrze zaplanowana terapia da najlepsze efekty. Po wyleczeniu kontuzji warto zadbać o wzmocnienie mięśni, aby w przyszłości zmniejszyć ryzyko kolejnych urazów. U nas w ProBody Clinic dzięki holistycznemu podejściu można nie tylko wyleczyć kontuzje w gabinecie przy pomocy doświadczonych fizjoterapeutów, ale również w bezpieczny sposób wzmocnić swoje ciało na kameralnej, świetnie wyposażonej do treningu funkcjonalnego salce z doświadczonym trenerem motorycznym.

ZANIM DASZ CZADU, ROZGRZEJ SIĘ!

Przed zapięciem butów narciarskich czy zasznurowaniem tyżew, warto wykonać kilka ćwiczeń rozgrzewających i rozciągających mięśnie. Najważniejsze, aby dać sygnał mięśniom, że czeka je kilkugodzinny wysiłek. Zaczni od:

- naprzemiennego unoszenia kolan,
- naprzemiennych wymachów nogą,
- naprzemiennego ruchu odwodzenia w biodrze,
- przysiadów,
- krążenia ramion w przód i w tył,
- skłonów do boku,
- rotacji tułowia
- wyprostów i zgięć karku
- krężeń karku.

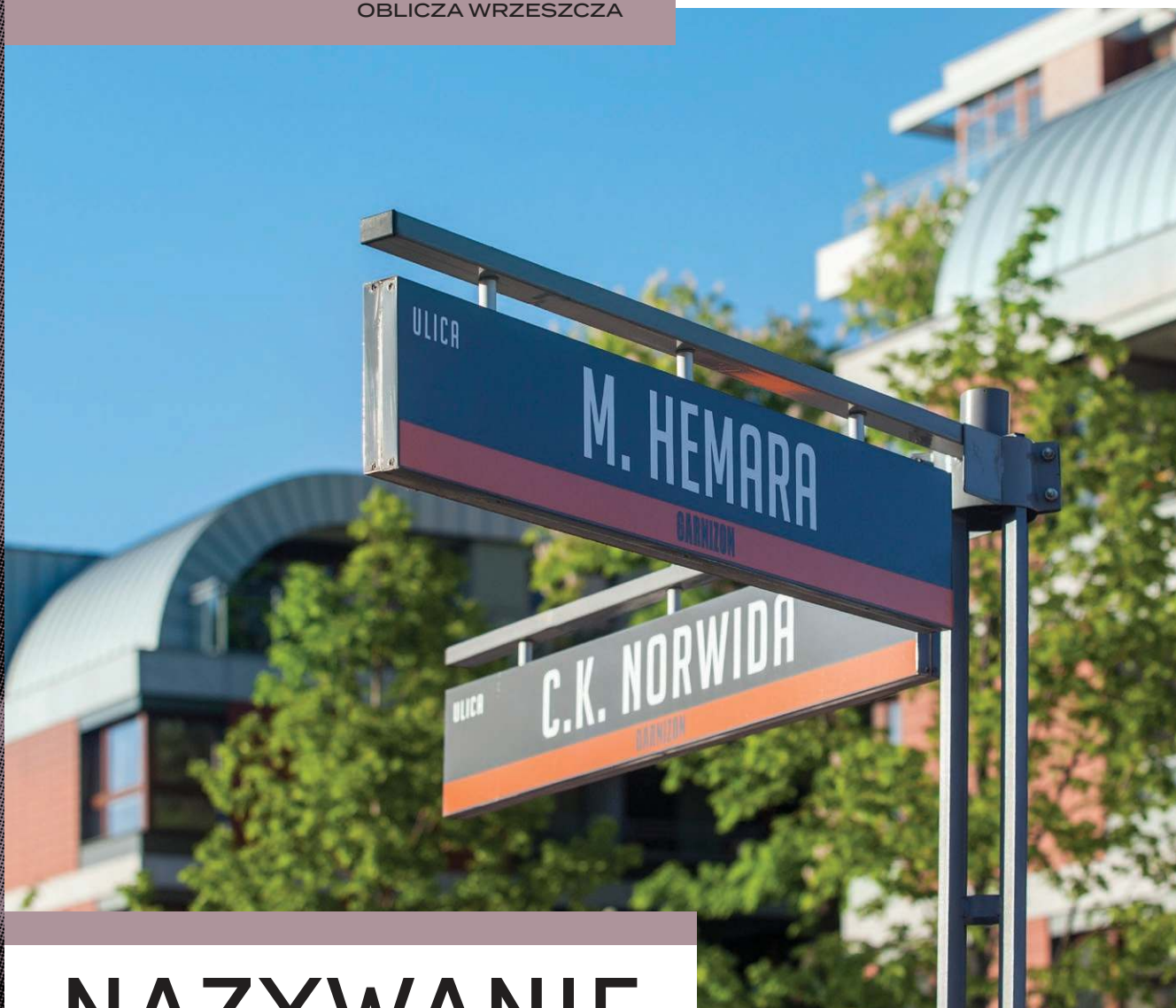
Każde z tych ćwiczeń należy wykonać 8 razy w 2 seriach.

Kiedy już trochę się rozruszasz, należy przejść do rozciągania:

1. Stań w szerokim wyroku tak, aby przednie kolano zgięło się do 90 st. i rozciągnij mięśnie nóg. Utrzymuj rozciągnięcie przez 10 sekund - powtórz ćwiczenie dla każdej strony 3 razy.
2. Stań w szerokim rozkroku i zrób półprzysiad na jedną nogę, utrzymuj rozciągnięcie przez 10 sekund, powtórz ćwiczenie dla każdej strony 3 razy.



Michał Wysocki
(fot. materiały prasowe ProBody Clinic)



NAZYWANIE *Wrze*Szcza

Nazwy ulic naszej dzielnicy są prawie tak samo ciekawe, jak ona sama. Nie tylko stanowią świadectwo czasów, w których nasi rodzice i dziadkowie objęli Gdańsk w posiadanie, ale niekiedy przypominają także o samej historii Wrzeszcza.

Polscy urzędnicy organizujący wiosną 1945 roku życie w zdobytym, niemieckim Gdańsku stanęli przed trudnym zadaniem szybkiego spolszczenia przestrzeni miasta. Wiadomym było, że jego dotychczasowych mieszkańców czeka wysiedlenie za Odrę, a ich miejsce

zajmie ludność prawie w całości etnicznie polska. Należało więc uczynić to obce bądź co bądź miasto bardziej dla niej przystępnym, oswojalnym.

Z jednej strony chodziło więc o zmianę językową i kulturową, usunięcie z topografii Gdańska niewygodnych odniesień

do wydarzeń i postaci związanych z niemieckim kręgiem kulturowym (w tym także z nazizmem). Z drugiej natomiast dawało to świetną okazję do podkreślenia historycznych praw Polaków do miasta nad Motławą oraz zaakcentowania triumfu firmowanego przez Moskwę

systemu polityczno-gospodarczego. W tym celu ulicom i placom Gdańska nadano nazwy według kilku kluczy – i tak samo stało się we Wrzeszczu.

TU JEST POLSKA!

Polskość miasta miały podkreślać przede wszystkim nazwiska historycznych władców i bohaterów narodowych – od Bolesława Chrobrego, przez Jana III Sobieskiego, po Tadeusza Kościuszkę – oraz luminarzy polskiej kultury. W tym drugim przypadku sięgnięto głównie po

literatów, chociaż upamiętniono także malarzy i naukowców.

W ten sposób na tablicach z nazwami ulic pojawiły się zarówno nazwiska doskonale znane – od Jana Kochanowskiego, przez Adama Mickiewicza (i postaci z jego dzieł), po Władysława Reymonta – jak i te znane nieco mniej: od Sebastiana Klonowicza, przez Wincentego Pola, po Lucynę Krzemieniecką. Listę tę uzupełniali polscy myśliciele polityczni doby oświecenia: Joachim Lelewel, Hugon Kołłątaj i Stanisław Staszic.

W latach 50. XX wieku zmian nazw ulic Gdańska dokonywano hurtowo. Na ilustracji wycinek z Dziennika Bałtyckiego z 30 X 1953 roku (bibliotekacyfrowa.eu)

Zmiany nazw gdańskich ulic

Miejska Rada Narodowa m. Gdańska, działając na podstawie art. 6 pkt. 6 ustawy z dn. 20 marca 1950 r. o terenowych organach jednolitej władzy państwowej (Dz. U. R. P. Nr 14, poz. 130), dnia użyczenia 10-tej rocznicy powstania Ludowego Wojska Polskiego i zmanifestowania ścisłej łączności mieszkańców Gdańska z międzynarodowym ruchem robotniczym i jego czołową bojownicą o wyzwolenie polityczne i społeczne oraz dla podkreślenia ścisłej braterskiej współpracy narodu polskiego i narodów Związku Radzieckiego uchwała — nazwać szereg ulic i placów imionami bohaterów, którzy sprawili klasy robotniczej poświęcił całe życie oraz nadać niektórym ulicom nazwy o historycznym znaczeniu. Zmienione zostają nazwy następujących ulic:

W ŚRODMIEŚCIU: ul. Bołowców na ul. Mieczysława Kalinowskiego, Plac Gen. Sikorskiego na Plac Maksyma Gorkiego, ul. Wałowa I i II na Wałowa, Wały Jagiellońskie I i II na Wały Jagiellońskie, Na Płaskach I i II na Na Płaskach, Okopowa I i II na Okopowa.

W DOLNYM MIEŚCIE: ul. Zakamarki na ul. Stefanii Sempolowskiej, Gen. Radziwiła na Ernesta Thälmana, Szwolęzów na Alfreda Lampego.

WE WRZESZCZU: ul. Witosa na ul. Małgorzaty Fornalskiej, Skwer Daszyńskiego na Skwer Marcjanna Kasprzaka, ul. Limanowskiego na ul. Aleksandra Puszińskiego, ul. Narutowicza na Włodzimierza Majakowskiego, Niedziałkowskiego na Feliksa Dzierżyńskiego, Libermana na Ludwika Waryńskiego, Pałac Wójcickiego na Wesłowski, Zamenhofa na Wojciecha z Brudzewa, Roosevelta na Karola Marksa, Ka. Wawrzyńskiego na Ignacego Łukasiewicza, Barlickiego na Juliana Marchlewskiego, Rataja na Marceliego Nowotki, Traugutta I i II na Romualda Traugutta.

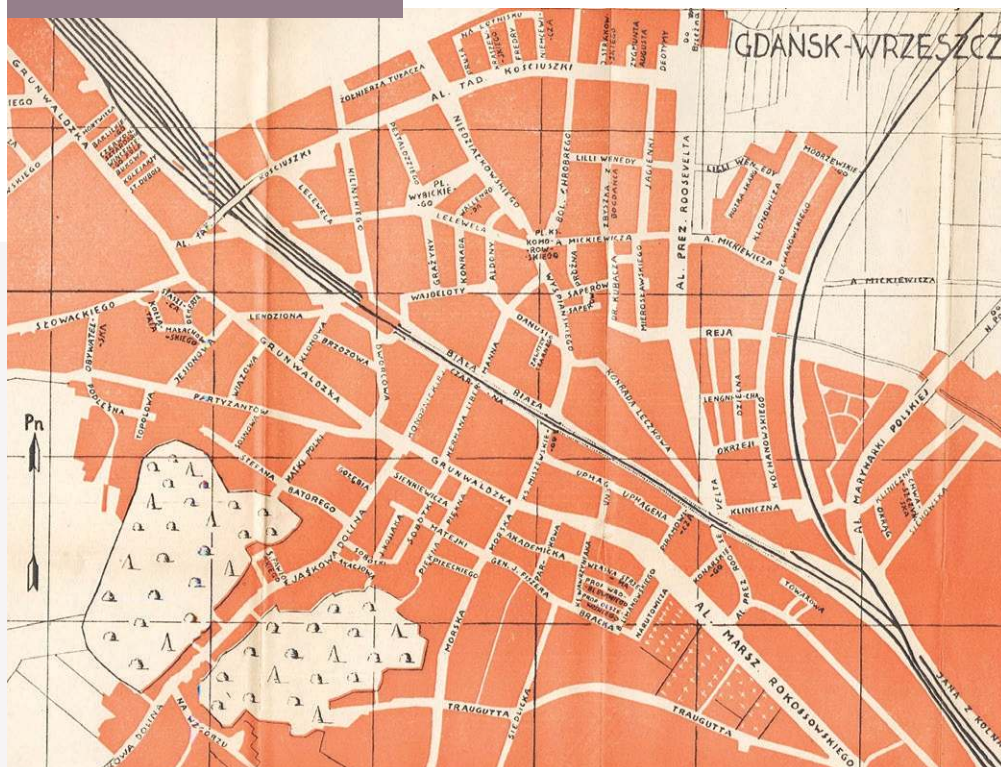
W OLIWIE: ul. Żołnierzyk na ul. Jana Husa, Al. Sprzymierzonych na Al. Witka Strowca.

W OLSZYNKACH: ul. Sierozewskiego na ul. Lewartowskiego.

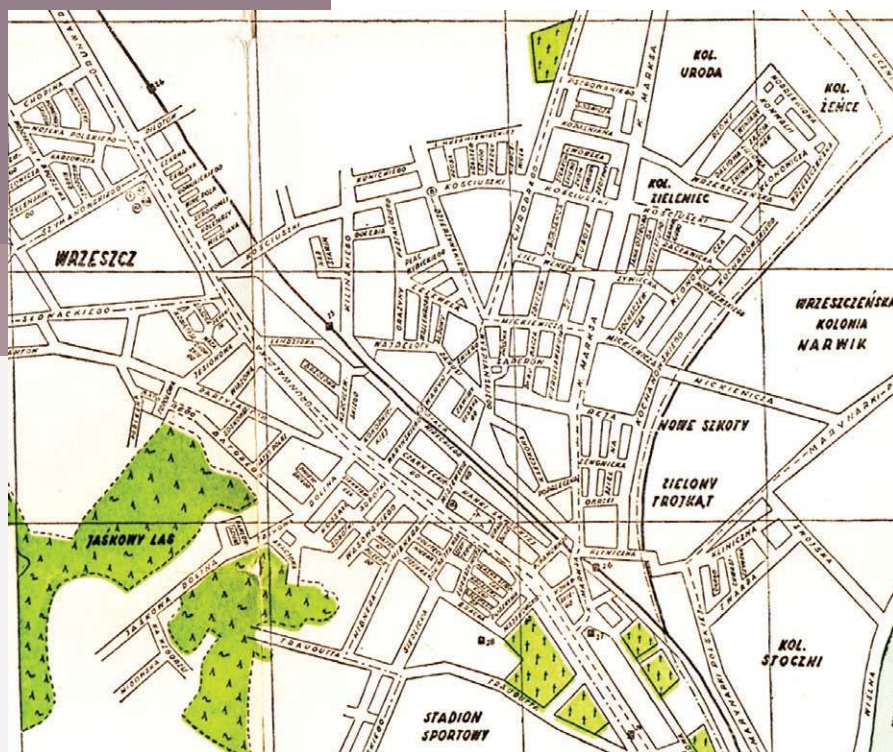
W ORUNI: ul. Sandomierską I i II na ul. Sandomierska.

NOWE ULICE OTRZYMUJĄ NASTĘPUJĄCE NAZWY: ulica A w osiedlu przy Al. Wolności Polskiego — Mikotaja Glinki, a ulica B także — Grzegorza Fitelberga; ulica A w osiedlu przy ul. Miszewskiego — Stefana Czarnieckiego, ulica A w osiedlu przy Al. Roosevelta — Jana Ostrołęzkiego, ulica B także — Manifestu Polanieckiego, ulica C także — Raclawicka.

Tradycja zobowiązuje – nowe ulice na osiedlu Garnizon otrzymują literackich patronów



Na planie Wrzeszcza z 1946 roku znajdziemy sporo niespodzianek, m.in. dzisiejsza al. gen. Józefa Hallera nazywa się aleją Prezydenta Roosevelta, ul. Romana Dmowskiego – Dworcowa, a ul. Do Studzienki – Morską (zbiory prywatne)



Na planie z 1957 roku natomiast widzimy, że Jana Uphagena zastąpiła komunistka Hanka Sawicka, ulicę Dworcową przeznaczono komuniście Julianowi Marchlewskiemu, a Prezydenta Roosevelta wyparł sam Karol Marks (zbiory prywatne)

WIELCY SOCJALIŚCI VS STRASZNI KOMUNIŚCI

Drugi klucz nazewniczy, jaki zastosowano we Wrzeszczu, był nieco mniej oczywisty. Otóż względnie słaba w pierwszych powojennych latach „władza ludowa” pilnie potrzebowała legitymizacji, toteż chętnie przywłaszczała sobie polskie tradycje socjalistyczne i niepodległościowe, nijak niezwiązane z sowieckim komunizmem. Stąd sięgnęła po takich patronów, jak Stanisław Dubois, Stanisław Kunicki, Stefan Okrzeja oraz Romuald Traugutt – którzy przetrwali do dziś.

Nie wszyscy z tego kręgu jednak mieli tyle szczęścia – w pierwszej połowie lat 50. Norberta Barlickiego, Hermana Libermana i Mieczysława Niedziałkowskiego zastąpiono mocno wątpliwym Julianem Marchlewskim, niebudzącym zastrzeżeń Ludwikiem Waryńskim oraz okrytym złą sławą Feliksem Dzierżyńskim. Z kolei dalsza „komunizacja” nazw ulic w okresie

stalinizmu sprawiła, że część historycznie zasadnych, dobrze nam znanych nazw – jak Jaškowa Dolina, Sobótki czy Jana Uphagena – na pewien czas zniknęły z przestrzeni Wrzeszcza.

„WSZAK TO MOJA BYŁA WIOSKA...”

Dodatkowo prawa Polaków do Gdańska podkreślać miały nazwiska zasłużonych działaczy przedwojennej gdańskiej Polonii. W tym gronie znalazł się Franciszek Kubacz i ks. Leon Miszewski oraz cztery osobistości rozstrzelane za swoją patriotyczną działalność w 1940 roku w masowej egzekucji w obozie koncentracyjnym Stutthof: ks. Bronisław Komorowski, Antoni Lenzion, Szczepan Pilecki i Władysław Pniewski.

Dodatkowym nawiązaniem do dopiero co zakończonej wojny były nazwy ulic upamiętniających zwycięskiego Marszałka Rokossowskiego (później wymienionego na bardziej neutralne Zwycięstwo), średniowieczne

zwycięstwo nad Zakonem Krzyżackim pod Grunwaldem, bliżej nieokreślonych Partyzantów oraz Saperów, a także Bohaterów Getta Warszawskiego i... Matkę Polkę.

OSZCZĘDZONE DRZEWA I PIĘCIU ZACNYCH JEGOMOŚCI

Na szczęście nie wszystkie przedwojenne nazwy wrzeszczańskich ulic zmiotła dokonana pośpiesznie w 1945 roku degermanizacja. Przetrwało ją pięć wybitnych nazwisk: gdańskiego malarza i rysownika Daniela Chodowieckiego, gdańskiego fizyka Daniela Fahrenheita, XVIII-wiecznego gdańskiego historyka Gotfryda Lengnicha (Lengnichweg), szwajcarskiego pedagoga Jana Pestalozziego (Pestalozzistrasse) oraz przedstawiciela jednej z najbardziej wpływowych rodzin gdańskich Jana Uphagena (Uphagenweg). Zachowano także przedwojenne nazwy pochodzące od gatunków drzew: Akacją (dawniej



Wędrując po zakamarkach Wrzeszcza natknąć się można na stare nazwy ulic zachowane w nazwach transformatorów, które najwyraźniej nie podlegają aktualizacji. Na zdjęciach: drzwi transformatorów na tyłach dawnej Państwowej Szkoły Pielęgniarstwa przy al. gen. Józefa Hallera 122 (dawniej al. Prezydenta Roosevelta) oraz w powojennej kamienicy przy ul. Do Studzienki (dawniej Władysława Hibnera) (fot. Jarosław Wasielewski)

Nowego Rynku (pl. Józefa Wybickiego), Obwodowej (ul. Tadeusza Kościuszki) czy Poligonowej (al. Legionów).

DWORCOWA ZMIENNĄ JEST, A HOSSA – KONSEKWENTNĄ

Na koniec ciekawostka. W XX wieku pewne ulice Wrzeszcza przemianowywano bardzo namiętnie. Najczęściej – bo aż pięć razy – czyniono to z ul. Romana Dmowskiego w Górnym Wrzeszczu – pierwotnie bardzo logicznie nazwaną Bahnhofstrasse, czyli ul. Dworcową – oraz z ul. Żywiecką w Dolnym (cztery zmiany, z czego dwie przed 1945 rokiem). I skoro jesteśmy w Garnizonie, to warto dodać, że budująca to osiedle HOSSA zadbała o to, by patroni wytyczonych tu nowych ulic wpisali się w przyjęty przed laty klucz literacki – stąd uhonorowano tu nie tylko przeoczonego wcześniej dziwnym trafem Cypriana Kamila Norwida, ale także bardziej współczesne nam znakomitości: Mirona Białoszewskiego, Mariana Hemara, Bolesława Leśmiana, Antoniego Słonimskiego oraz Edwarda Stachurę.

Akazienweg), Brzozową (Birkenalle), Jesionową (Eschenweg), Klonową (Ahornweg; mieliśmy także Wiązową, ale w 1970 roku przemianowano ją na Charles'a De Gaulle'a) oraz lepsze bądź gorsze tłumaczenia niemieckich nazw historycznych: Białą (dawniej Weisserweg), Jaśkową Dolinę (Jäschkentaler Weg), Nad Stawem (Am Kleinhammerteich), Sobótki (Am Johannisberg) czy Srebrniki (Silberhammerweg).

Dlatego też dziś na planie Wrzeszcza nie znajdziemy ulicy Do opackiego młyna (zamiast niej jest ul. Konrada Leczkowa), Bałtyckiej (al. gen. Józefa Hallera), Brzeźnińskiej (ul. Bolesława Chrobrego), Brunowskiej (ul. Ludwika Waryńskiego), Kuźnicznej (ul. Jana Kilińskiego), Mirachowskiej (ul. Partyzantów), Nowoszkockiej (ul. Stanisława Wyspiańskiego), ani też

UTRACONE PAMIĄTKI HISTORYCZNE

Jednak co do zasady polscy urzędnicy w 1945 roku wylewali dziecko z kąpielą. Usunęli bowiem wiele nazw, które można było pozostawić w polskim tłumaczeniu jako pozbawione skojarzeń ideologicznych, a świadczące o wiejskiej przeszłości dzielnicy bądź o jej intensywnym rozwoju w pierwszej połowie XX wieku.

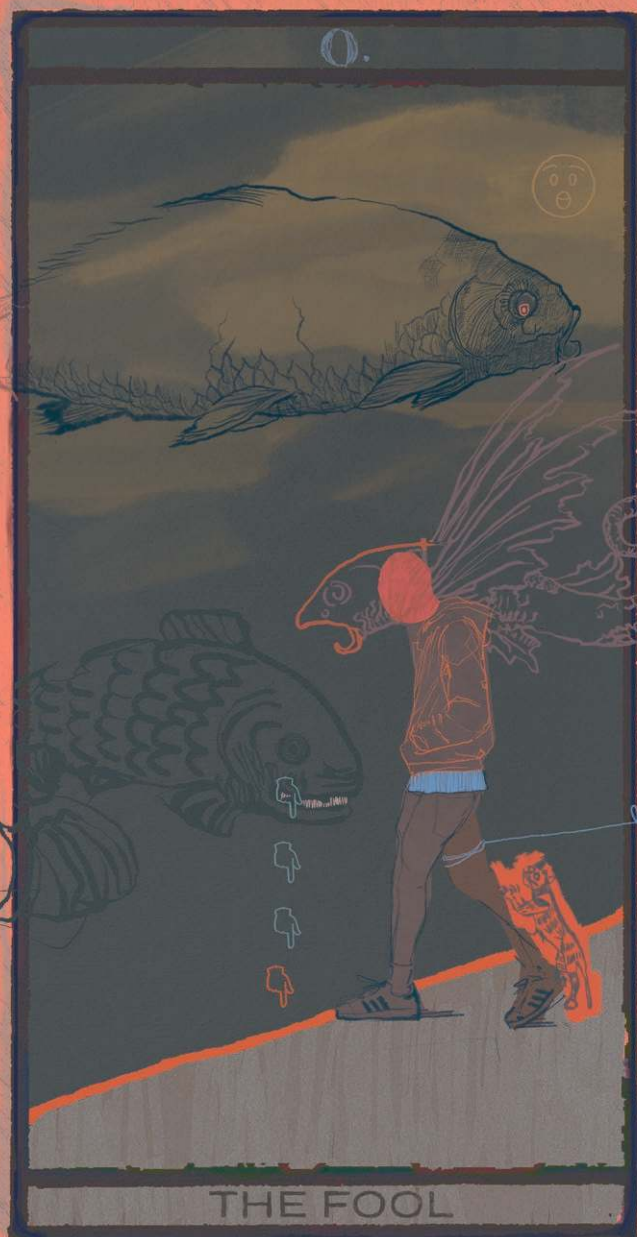


FOT. SANDRA SKWIERAWSKA

JAROSŁAW WASIELEWSKI – badacz i popularyzator historii Gdańska, współautor m.in. serii albumów Wrzeszcz na dawnej pocztówce, publikuje na portalu Trójmiasto.pl oraz w czasopiśmie 30 dni, pisze także bloga: jarekwasielewski.pl/zwrzeszcza

Ewa Białołęcka

ilustracje: Magdalena Peszkowska-Bednarczyk



Drzwi do...

Bure światło wylewało się przez brudne, wąskie jak strzelnica okno nad drzwiami wejściowymi. Kąty pomieszczenia ginęły w półmroku. Ze zgaszonych czerni wylał się zarys poręczy, parę stopni i jakieś graty w rogu – równie dobrze mógł to być połamany parasol jak i łapy pajęczego stwora. Ni to surrealizm, ni to zła pocztówka z pofabrykanckiej Łodzi. Piotr widział kiedyś bardzo podobny obraz.

Na półpiętrze czekał umówiony właściciel mieszkania, kopiąc smrodliwego papierosa. Nieogolony, z tłustymi

kosmykami opadającymi na uszy, jak ułaj pasował do niechlujnej klatki schodowej.

- Szanowanie – odezwał się, rzucając niedopałek na podłogę i rozcierając podeszwą. – Pan mieszkancko oglądnać?
- Dzień dobry. Tak, mieszkanie...

Indywidualum zabrzączało kluczami, wchodząc wyżej na piętro. Na szarych drzwiach wisiały dwie wizytówki.

- Tam ktoś jeszcze mieszka? – rzucił Piotr dość ostro, podczas gdy facet męczył się z zamkiem.

- Tylko przedpokój wspólny! – zapewnił tamten skwapliwie. – Wie pan, przedwojenne, dzielone. Obejrzyj pan, przypasuje – weźmiesz, nie podpasuje – to nie. Mnie tam wszystko jedno.

Za drzwiami ukazał się wąski korytarzyk. Stała tam stara szafka, pusty kwietnik i jakieś kartony. Wyżej ściany „zdobiły” przypięte pineskami tandetne obrazki – Piotr aż się otrząsał. Na drzwiach w głębi majaczyły litery K+M+B, natomiast te, przed którymi stanął niechlujny facecik, zdobił drewniany krucyfiks, przyklejony starannie taśmą.

- Poj****o babę! – warknął ze złością, zrywając krzyżyk i ciskając go na szafkę.
- Nic, tylko do kościoła lata i od tego już do reszty ocipiała.

Sąsiedztwo fanatyczki, być może słuchającej Radia Maryja na cały regulator, Piotrowi się nie uśmiechało, ale postanowił przynajmniej obejrzyć lokal.

Wygląd kawalerki zgadzał się z opisem w ogłoszeniu, za to zapowiadana łazienka okazała się klitką z brodzikiem, upchniętym na siłę tuż obok klozetu, oraz starym bojlerem gazowym, kojarzącym się z wygasłym kotłem piekielnym. We wnęce kuchennej tłoczyły się blaszany zlew i dwupalnikowa kuchenka. Pokój był bardzo wysoki nawet według rozpasanych przedwojennych standardów. Wydawał się dość obszerny, może dlatego, że umeblowany po spartańsku. Stół, krzesło, wąska szafa, stojąca

ni w pięć, ni w dziewięć dokładnie pośrodku ściany – a po przeciwnej stronie nie pierwszej młodości wersalka. Zaniedbany parkiet skrzypiał pod nogami.

Jednak pomieszczenie sprawiało całkiem miłe wrażenie, pewnie dlatego że było bardzo jasne. Piotr podszedł do wysokiego okna, by sprawdzić położenie słońca. Tak jak przypuszczał, kawalerka leżała na osi wschód – zachód, więc miałby dobre światło przez pół dnia.

- Ile? – zapytał.

- Pińcset i pan mieszkasz – zakomunikował właściciel, czując że ryba bierze. – A ta za ścianą to nieszkodliwa. Jakby co, to dzwoni pan. Op*****ię i się odczepi.

- Op*****ić to ja sam umiem – odparł Piotr sucho. – A inne opłaty?

Pięćset to było tanio. Podejrzanie tanio. Gdzieś musiał kryć się haczyk, ale Piotr nie widział na razie żadnego, poza maniaczką religijną za ścianą. Na niecały tysiąc mógł sobie pozwolić, a do prymitywnych warunków przywykł w starym akademiku. Zresztą Van Gogh też nie tworzył w luksusach, a Piotr go już przebił o cztery sprzedane obrazy.

Dobili targu, pieniądze i klucze przeszły z rąk do rąk.

*

Lekko podgrzany skrzętem, Piotr oswoił swoje nowe cztery kąty. W wersalce szybko znalazł przyjazny dołek, jakby stworzony do wysiadania godzinami, śledzenia wzrokiem smug dymu i komponowania w głowie obrazów. Jego skromny dobytek spoczywał pośrodku pokoju. Wypchany plecak, stara walizka, karton z setkami reprodukcji i pocztówek z malarstwem, drugi z farbami i pędzlami. Poza tym sztalugi oraz teka ze szkicami. Stare gwoździe w ścianach obciążało już parę małych landszaftów, a koło drzwi Piotr z pietyzmem zawiesił oprawiony w ramki swój rysunek z dzieciństwa. Akwarelka przedstawiała czerwonego kota ze

wszelkimi konsekwencjami straszliwego gustu przedszkolaka. Autor, teraz starszy o dwadzieścia lat, wielokrotnie usiłował powtórzyć niesamowitą, surrealistyczną i nieco złowieszczą minę kocura. Na razie bez powodzenia. Wbił parę nowych gwoździ starym kluczem francuskim, znalezionym w szafce pod zlewem. Zamierzał urządzić niewielką osobistą galerię. Trzymanie obrazów w sztaplach pod ścianami jest wbrew naturze, mawiał.

Piotr okupował właśnie dołek na wersalce, kontemlował dymne spirale i gapił się przed siebie – a konkretnie na szafę. Powoli dotarło do niego, że czuje dyskomfort.

Ta landara obrzydliwie kałała białą przestrzeń ściany. Symbol paskudnego drobnomieszczaństwa dokładnie pośrodku czegoś, co mogło być płaszczyzną pod nową „Ostatnią wieczerzą” albo choć kopię Chagalla.

- Precz mi z oczu, meblu plugawy! – rzekł Piotr z patosem, ale szafa oczywiście ani drgnęła.

Nie pozostało nic innego, jak wstać i naprzec ramieniem na krnąbrny przedmiot. Przesunął się tym łatwiej, że był pusty.

- No tak, wszystko jasne...

Zagadka dziwaczego ustawienia szafy wyjaśniła się. Zza niej wyjrzał wielki rysunek drzwi. Widocznie właściciel, chcąc zaoszczędzić na malowaniu, po prostu zasłonił to, co uznał za bażgroły, obniżające wartość lokalu.

Zaintrygowany malarz wbił wzrok w szkic. Trudno było to nazwać freskiem – po prostu odręczny rysunek ołówkiem, zrobiony jednak starannie i z emanującą z każdej kreski celowością. Piotr wiódł spojrzeniem wzdłuż linii. Tajemniczy rysownik nie używał linijki, ale miał pewną rękę i doskonale wiedział co chce stworzyć. Z dbałością o szczegóły przeniósł na gładź ściany pokarbowane krawędzie futryny, owalne oczko sęka i gwoździe. Samo

skrzydło było po staroświecku dzielone masywnymi szprosami na trzy części. Narysował nawet klamkę w kształcie liścia akantu, z ozdobnym sztyldem, nie zapomniał też o dziurce od klucza. Tylko proporcje trochę zaszwankowały, gdyż uchylone „na zewnątrz” drzwi zwały się zanadto, jakby miały co najmniej cztery metry szerokości i ginęły w głębi perspektywy. A za nimi czaiła się mleczna nicość i siwe cienie.

*

Sąsiadka musiała chyba czatować, przyklejona do wizjera, gdyż pojawiła się natychmiast, gdy tylko Piotr ruszył się za próg. Odpowiedział na jej „dzień dobry”, choć tonem raczej chłodnym. Lepiej się nie spoufalać, bo można skończyć wynosząc staruszcze śmieci, albo co gorsza, oglądając rodzinne fotografie przy herbatce. Spodziewał się pytań: skąd, na długo, gdzie pracuje? Ale nie tego, co usłyszał sekundę później.

- Ten Żemła to pewnie panu nie powiedział... – wypaliła kobiecina, mierząc Piotra płonącym okiem harpii. – Bo ta dziewczyna, co tu wcześniej mieszkała – zniżyła głos – to umarła! A ten tylko pokój wysprzątał i nic, dalej lokatorów bierze. Taki na pieniądze pazerny. Bezbożnik!

Piotr zdębiał. Czuł pustkę w głowie. Nie zdobył się nawet na: „co też pani mówi?”, zresztą kobieta chyba nie oczekiwała odpowiedzi. Uniosła godnie podbródek i ruszyła do wyjścia, mocno ściskając w garści torbę na zakupy.

*

Czas był najwyższy zarobić na chleb. Piotr mógł, co prawda, na te swoje wynajmowane piętnaście metrów dokoptować jakiegoś kumpla, ale wolność, nawet w tak skromnym wymiarze, smakowała coraz lepiej. Wiedział, że w miarę spełniania pucharu Libertad, zobaczy jego dno, ale odsuwał tę myśl od siebie. W końcu nawet Gauguinowi zdarzało

się chałturzyć dla potrzeb ciała, więc tapetowanie lub mycie wystaw nie było zbytnią hańbą dla artysty.

Siedział znów przy sztalugach z san-gwiną w dłoni, usiłując cokolwiek naszkicować.

- K***a mać, mycie okien szkodzi – mruknął do siebie.

Odłożył kredkę, by wygrzebać z kasetki jointa. No cóż, może malowanie „na Witkaca” da jakieś rezultaty.

*

Drzwi na ścianie zapraszały do wejścia. Kusily nieznanym ładem za progiem. Gdyby tak można było je pchnąć... Dym skręcał się w maoryskie spirale. Gdzieś na samej granicy słyszalności rodził się niski hipnotyczny dźwięk, jakby w sąsiednim wymiarze grało aborygeńskie didgeridoo. Albo mruczał kot wielkości traktora.

Trzymając łufkę w zębach, Piotr wygrzebał z pudła plakatówki. Potem przyniósł wodę w słoiku i zaczął rozrabiać farbę, spoglądając na zaczęty fresk i uśmiechając się szatańsko.

Dwie godziny i dwie łufki później Piotr kładł białą temperą refleksy światła na klamce. Dzieło było gotowe. Prawie gotowe. Nadal nie miał pomysłu, co umieścić za drzwiami, na tym widocznym skrawku nicości, czekającej na wypełnienie. Kawalek trotuaru? Więjski krajobraz z polną drogą kończącą się (czy też może rozpoczynającą) tuż za progiem? A może surrealistyczny krajobraz: rajski ogród w kuchni, miniaturową dżunglę w łazience lub dworzec kolejowy pod łóżkiem? Akurat w stylu Yerki... Natychmiast porzucił ten pomysł. W stylu tego, w stylu tamtego... Najwyższy czas znaleźć własny.

Palce nadal świerzbiały go do pędzla, więc po raz kolejny spróbował namalować zwiariowanego kota, tym razem ognistoczerwoną i pomarańczową temperą na czarnym podkładzie. Wytwór sześciolatka ironicznie zezował ze

ściany na swoją kopię. Kocur wyszedł świetnie, choć znów nie miał tego „czegoś”, upragnionego przez malarza od lat. Jednak z pewnością pójdzie za ładny grosz na niedzielny deptaku, zapewniając Piotrowi obiad i może parę jointów.

*

Obudził się w środku nocy, stwierdzając, że zasnął na siedząco, kompletnie ubrany. Gardło i język miał wyschnięte na wiór. Woda z kranu smakowała chlorem, ale pił łapczywie, oblewając koszulkę. Zakaszał, przetarł mokrymi dłońmi twarz.

Latarnia sączyła przez okno światło widmowe jak duch zmarłej mandarynki. Drzwi w ścianie otworzyły się wolno. Dotknął ich, lecz zamiast zimnego tynku poczuł pod dłonią ciepłą, nieco szorstką fakturę drewna. Nozdrza złowiły ulotny zapach bejcy i niepowtarzalną woń, nie do pomylenia z żadną inną. Tak pachną strychy przedwojennych domów, szopy i schroniska w Bieszczadach.

Nie czuł strachu, choć może powinien. Kiedy przekraczał próg, rdzawy płomień prześliznął mu się między nogami.

*

Piotr zamknął na chwilę oczy. Słyszał jak za jego plecami drzwi zamykają się z cichym skrzypnięciem. Po drugiej stronie panował jasny dzień. Choć może określenie „jasny” było trochę przesadne. Światło, sączące się z pochmurnego nieba, miało barwę delikatnej sepii, niczym surowy jedwab. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się woda – tak spokojna, że z początku robiła wrażenie szklanego zwierciadła. Jej rozległość przywołała od razu na myśl morze lub nawet ocean, ale ta nienormalna gładkość wody pasowała raczej do jeziora. Pod stopami chrzęścił żwir.

U jego stóp kręcił ósemki czerwony kot, wielce zadowolony z siebie.

- Zwiąleś mi z obrazka, bydlaku? – mruknął Piotr bez złości.

Obejrzał się za siebie. Drzwi tkwiły w zwietrzalej skale. Wysoka faleza wznosiła się na niebotyczną wysokość. Piotr zadarł głowę i zmarszczył brwi z namysłem. W górze, na samej granicy ładu, chaotycznie tłoczyły się budynki. Poszczepiane ze sobą jak kępy grzybów czy walczące pająki, najeżone bezsensownymi galeryjkami, schodkami, krzywymi belkowaniami – przypominały właściwie złomowisko. Zrujnowane i chyba opuszczone, ale jednak kiedyś ktoś musiał zbudować tę szkaradną metropolię i mieszkać tam.

- Co do ku**y...? – mruknął Piotr do siebie.

Całe to miejsce wydawało się dziwnie martwe. Czyżby tak wyglądały zaświaty? A może to po prostu sen? Całkiem możliwe. Głupia, męcząca zwała po gandzi.

W spokojnej olejistej wodzie trwał odbicie opustoszałego miasta na szczycie klifu. Nierówny grzebień zrujnowanych domów zwisał nad przepaścią, grożąc w każdej chwili upadkiem. Piotr usiłował

dostrzec jakikolwiek ruch, ale nic nie zakłócało martwoty krajobrazu. Choć wiał wiatr, gwiżdżący żalobne melodie w skalnych szczelinach, nieskazitelnej gładzi bezkresnego morza-jeziora nadal nie mąciła ani jedna zmarszczka. Piotr dotknął nieufnie wody butem. Powierzchnia ugięła się lekko i jakby niechętnie, potem drobne paciorki bursztynowej cieczy przetoczyły się przez wierzch adidasa. Piotr schylił się, by zanurzyć końce palców. Czuł lekki chłód, a kiedy cofnął rękę, była nadal sucha. To nie była woda, raczej coś w rodzaju rtęci. Powielala w lustrzanym odbiciu ten niepokojący, opustoszały świat. Ciemne oczodoły okien wpatrywały się w siebie nawzajem, z góry i z dołu, w złowieszczej walce charakterów. Tymczasem kocisko zdążyło się oddalić, nie czekając na niego. Stanowiło jedyną żywą plamę w monotonnym pejzażu o barwie błota i zaschłej krwi.

Piotr zerwał się do biegu, by dogonić kocurę. Stanowił dziwaczne, ale swoje towarzystwo. Nie chciałby zostać tu sam, za nic.

U podnóża klifu pojawiło się coś w rodzaju zarośli. Łodygi, wynurzające się z brązowego żwiru, były karbowane jak grube robaki, rozwidlały się fraktalowo na coraz to cieńsze identyczne odnogi. Dostrzegł, że zielonkawę grona, zwińczające delikatne, ażurowe baldachy, poruszają się bez przerwy – miarowo rosnąc i kurcząc się, jakby oddychały.

Ten świat przypominał wszystkie filmy postapokaliptyczne naraz i przebijał nawet jazdy po grzybkach. Czerwony kot z podniesionym arogancko chwostem truchtał naprzód, nie oglądając się za siebie. W końcu stanął i usiadł, liżąc od niechcenia łapę.

Dopiero teraz Piotr zorientował się, że surowa skala ustąpiła betonowej ścianie.





Nieufnie powiódł wzrokiem wzdłuż wąziutkiej ścieżki, biegnącej skosem w poprzek popielatego muru. W pewnym miejscu nagle zakreślała, wznosząc się w drugą stronę, pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Wydawało się, że jest niewiele szersza od wstażki, zygzakowała aż do krawędzi klifu majaczącej gdzieś na wysokości dziesiątego piętra.

- Tędy...? – zapytał niepewnie.

Kot zaczął myć się pod ogonem, a Piotr miał wrażenie, że zwierzak wyraża w ten sposób pogardę dla jego ignorancji, ale pytania same wyfruwały mu z ust jak wróble z klatki.

- Dlaczego? Nie możemy iść dalej brzegiem?

Kot znacząco popatrzył na cienką linię horyzontu. Piotr obejrzał się jeszcze raz za siebie. Na widnokregu wyraźnie formowało się coś ciemnego, mrocznego, jakby czarny wał burzowych chmur. Ale woda nadal była spokojna i gładka jak szkło. Raptem poczuł napływ irracjonalnego lęku. Cisza przed burzą, cisza w oku cyklonu... Cokolwiek nadciągało, było śmiertelnie groźne.

Kot wskoczył na ścieżkę i rzucił mu pytające spojrzenie: idziesz, czy mam

sobie tobą nie zawracać głowy? Występ miał szerokość półtorej stopy. Męskiej. Z ulgą Piotr zorientował się, że ściana jest leciutko pochyła, więc nie groziło mu natychmiastowe odpadnięcie i połamanie kości na kamienistej plaży.

Gdzieś w połowie drogi odważył się przystanąć, opierając plecy o szorstki cement. Popatrzył przed siebie i zabrakło mu tchu.

Piaskowy przestwór nad rzęciowym morzem rozdzierał się bezgłośnie, rozgarniając obłoczne kurtyny w przeciwnym kierunku krańce nieba. Pod błędym kręgiem słońca lewitował kosmogoniczny sześcian, gotów rozpostrzeć się z jednej nieskończoności w drugą. Niżej nadciągała gigantyczna ściana tsunami niosąca na grzbiecie dwa statki. Odarte z masztów i żagli pływające trumny – zmurszałe, obrośnięte glonami, jakby przez całe dziesięciolecia tułały się po morzu i dopiero teraz burza zagnała je w stronę lądu, by mogły znaleźć na brzegu ostateczny kres wędrówki. Na oczach Piotra jeden z kadłubów rozpadł się, a fala, wydająca teraz głuchy pomruk pochłonęła szczątki. Drugi obrócił się majestatycznie, prezentując

rozłupaną rufę, jakby zbudowaną z bładniebieskiego kamienia, oznaczoną gigantycznym krzyżem.

Znam ten statek! – coś krzyknęło wewnątrz Piotra. Znam go, widziałem go już!

Ale przepłoszył tę myśl strach: Wyżej! Wyżej, bo mnie dosięgnie!

Walczył więc z wiatrem i ścigał z falą, która mogła go rozgnieść na betonowej ścianie jak pająka. W końcu dotarł na szczyt. Zdyszany, stał na krawędzi między żywiołem wodnym a ziemskim, pasąc oczy niewiarygodnym spektaklem. Okręt-widmo wydawał się być już prawie na wyciągnięcie ręki. Spękana kopuła nadbudówki chwiała się powoli i majestatycznie zaledwie kilka metrów niżej. Nareszcie fala rozbiła się o brzeg, aż ziemia pod stopami zadygotała, jak uderzona ogromnym młotem. Omszały kadłub rozsypał się cicho i z godnością. Pochłonęła go głęбина, jakby nigdy nie istniał.

Piotr usiadł na brzegu, zwieszając nogi poza krawędź. Splunąłby na dół, gdyby w ustach została mu choć odrobina wilgoci. Tsunami już się cofało. Czekał cierpliwie, póki pasek plaży w dole

nie wyglądał tak jak przedtem, z tą różnicą, że teraz leżało tam mnóstwo ogromnych, spiralnych muszli. Nawet z tej odległości dostrzegał, że są w istocie skamielinami. Przypomnił sobie nazwę. Amonity... Najmniejsze z okazów musiały mieć przynajmniej metr. Odpływ trwał. Odsłaniało się dno, czarne i migotliwe, a na nim spoczywały kości morskiego potwora. I Piotr już nie wiedział, czy patrzy na ziemię, czy może na niebo antypodów. Ogląda szczątki lewiatana, czy może potrząskane wręgi statku, tak ludzaco podobne do wielorybich żeber.

Ryży kocur już go nie popędzał. Bez pośpiechu zlustrował wyższy „poziom”. Uwagę przyciągała przede wszystkim góra, wyrastająca niespodzianie pośrodku niemal całkiem płaskiej równiny. Góra – czy raczej tytaniczna budowla, a może rzeźba? Monstrualną kopułę spiralnie otaczały mniejsze, pnące się ku szczytowi, w porównaniu sprawiające wrażenie odwróconych do góry dnem miseczek. Piotr, osłaniając dłonią oczy, wyławiał coraz to nowe elementy: białe kolumny portyków, arkady, schody, mosty i barwne plamy malowideł albo mozaik. Wszystko to składało się na zdumiewające miasto-statuę. Tak właśnie, gdyż szczyt wzgórza zwieńczała ogromna postać kobieca, ukazana od bioder w górę, co sprawiało wrażenie, że miasto jest jej krynoliną. Okna, portale, tarasy i balkoniki sięgały aż do piersi niczym zdobna koronkami suknia. Dopelnieniem surrealistycznej wizji architektonicznej były włosy figury upięte w misterną fryzurę.

Może są tam jacyś ludzie? – pomyślał Piotr, widząc falujące na wietrze chorągwie.

Kot potruchtał ścieżką wiodącą przez żółtą kamienistą pustynię, najeżoną cudacznymi tworamiz geologicznymi, przypominającymi kamienne grzyby. Niemal identyczne, sięgające co najwyżej do kolan. Z wierzchołków niektórych

unosily się pasemka dymu, jakby były to miniaturowe wulkany. Piotr zorientował się, że szczyty kamiennych pachółków są zamieszkałe przez jakieś stworzenia. Gromadziły się w ciemnych kręgach wokół mikroskopijnych ognisk. Kot, choć namalowany, widać poczuł instynkt łowiecki. Zgarnął pazurzystą łapą jednego z takich potworków – i wtedy Piotr miał okazję dostrzec, że jest on z grubsza człekokształtny, o kosmatym kadłubku i czterech cienkich, jakby pajęczych odnóżach. Tylko łebek miał biały z czerwoną plamą w miejscu ust i nosa. Oczu nie było widać. Piszcząc rozpaczliwie, zginął w kociej paszczy. Tylko przez sekundę widoczne były jeszcze drgające łapki. Szkarłatna bestia oblizała się z ukontentowaniem. I znów, jak w przypadku okrętu, Piotr miał wrażenie, że już gdzieś widział podobne stwory. Nie pamiętał jednak, czy nawiedzały go w snach, czy może coś podobnego widział w kinie. Maszkaronki po kocim ataku roily się niespokojnie, jeszcze bardziej przypominając czarne pająki.

Niebawem miejsce kamiennych grzybów zajęły całe poletka krzywo poustawianych szafeczek bez drzwi – brudnych i wypaczonych od długiego stania pod gołym niebem. Choć właściwie Piotr wątpił by tu często padało. Krajobraz wyglądał bardzo sucho, pyliście i w nieokreślony sposób sędziwie, jak wnętrze gigantycznego strychu. Wrażenie pogłębiło się, gdy zajął do jednej ze skrzynek. Była niska, musiał przykucnąć. W ciasnej przestrzeni wisiał nietoperz. Chyba nietoperz. Z bladოსinego kadłuba wystawały sztywno dwie łapy, ucepione poziomej żerdki. Stworzenie owinięte było ciasno błoniastymi skrzydłami. Tylko ruch żeber pod cienką skórą świadczył, że jest w nim jakaś iskra życia. Piotr nie żałował, że nie widać nic więcej. Nawiedzała go niemila myśl, że owo skrzyżowanie chudego kurczaka z gackiem nagle może odsłonić krwawe

ślepie i paszczę z wampiryzmi kłami. Inne szafeczko-skrzynki zajmowali podobni lokatorzy, rozmaitej wielkości i w różnych stadiach zwiniecia. Od czasu do czasu poruszali się, szeleszcząc złowróźnie. Nikt chyba nie powinien przebywać tu po zmroku, dla własnego bezpieczeństwa. Tym bardziej, że stały tu setki takich „domków”. Nawet kot, zajrzawszy do jednej ze skrytek, zrezygnował z polowania, burcząc z obrzydzeniem i otrząsając łapy.

*

W murze, stanowiącym jednocześnie lamówkę sukni, była tylko jedna brama w zasięgu wzroku.

Piotr uniósł głowę. Wokół wieży, którą tworzyła talia gigantycznej statui, majestatycznie krążyły szafirowe sterowce. Dopiero po dłuższej chwili skorygował swoją pomyłkę: pękate kształty nie były pojazdami, lecz latającymi rybami o lśniących metalicznie łuskach. Jedna z nich zniżyła lot, ciężko wiosłując złotymi płetwami. Piotr przestał odczuwać zdziwienie. Po kosmicznym widowisku nad oceanem czy kolonii szafkowych nietoperzy, latające olbrzymy były tylko jeszcze jednym elementem otaczającej rzeczywistości. Czy też nierzeczywistości. Grecki profil rzeźby pochylał się nad miastem. To, co Piotr z daleka wziął za podwójny kok, okazało się wspaniałą parą wygiętych rogów. Także na nich powiewały długie, kolorowe wstęgi.

Budowniczo wie chyba cierpieli na gigantomanie, gdyż brama miejska wyglądała jak wielki plaster spękanego drewna, z widocznymi kręgami wewnętrznych słoów. Służył za pojedyncze skrzydło, wiszące na potwornych żelaznych zawiasach. Drzewo, z którego go odcięto, było chyba sekwoją – jakimś drzewnym mamutem czy dinozaurem. Prawdę powiedziawszy, drzwi miały zawiasy z obu stron, za to żadnej zasuw, klamki, czy czegokolwiek,

co by sugerowało, jak się otwierają. Piotr uniósł rękę by zapukać, czując się przy tym niewymownie głupio. Niespodzianie jego pięść zanurzyła się w przegowanym drewnie, nie napotykając oporu. Poczul tylko przenikliwie zimno. Cofnął gwałtownie rękę, oglądając ją z lękiem. Nic, żadnych niepokojących śladów. Iluzja...? Kot zmierzył go wzgardliwym spojrzeniem i bez wahania wskoczył w pozornie litą płaszczyznę. Piotr poszedł w jego ślady. Chwila atawistycznego strachu, serce przyspieszyło, po skórze przebiegło tysiąc lodowatych pajaków – i już był wewnątrz.

*

Białe i różowe ściany gięły się w cudacznej perspektywie, mając oczy. Ulica powinna biec pod górę, ale czasem zdawało się, że zakręca lub wydyma groteskowo, jak na grafikach Eschera. Mieszkańcom to najwyraźniej nie przeszkadzało. Kobiety w krynolinach i kapeluszach na podobieństwo płaskich szuflad, trawników lub kwitnących krzewów dotrzymywały towarzystwa arlekinom i pierrotom, karłom albo istotom po części zwierzęcym. Tu i ówdzie przemykały pasiaste wózki zaprzężone w psy i wielkie szczury. Pstry jarmark, pełen wzorów zodiakalnych, geometrycznych deseni i intensywnych barw krańcowo różnych od wcześniejszych monochromatycznych krajobrazów. Nie brakowało też wstęg i proporców, zwisających z niemal każdego okna czy balkonu. Karminowe, zielone, fioletowe, indygo i w barwie ochry – czyste kolory. Rozbiegane oczy Piotra wylawiały z tej feerii emblematy ryby, oka w trójkącie, pentagramu... Jednak prędko frapująca scenografia zaczęła go niepokoić. Wreszcie zrozumiał – było zbyt cicho. Tłum powinien stwarzać ogłuszający hałas, nawet przy braku samochodów. Tymczasem słychać było tylko szelest ubrań, kroki i stukanie kółek po bruku.

Zdawało się, że przechodnie śpią w marszu. Nikt nie pracował, nikt nie zajmował się niczym konkretnym.

Teatr – pomyślał Piotr pośepnie. – A to statysty.

Zwrócił jego uwagę drogowskaz. Strzałka na lewo nosiła gotycki napis SĘDZIOWIE; ta wskazująca w prawą stronę: PROROCY. Wiedziony ciekawością, skręcił w zaułek. Po obu stronach ciągnęły się szeregi nisz. W niektórych stały krzesła – z kutego żelaza, drewniane, zdobne misterną snycerką lub obite przykurzonym aksamitem. Tutaj żywe, czyste kolory ustąpiły pola bardziej przytłumionym, złamanym barwom. Jedno z siedzisk zajmowała woskowa głowa lalki, stojąca na niziutkim postumencie, przykrytym udrapowanym jedwabiem. Jej oczy były czarne i puste. W lustrzanym oparciu odbijał się tył głowy, fragment pochmurnego nieba i niespokojnie miotająca się mewa.

- Niezła instalacja – mruknął Piotr do siebie. – Ktoś się narobił...

Schylił się, uważnie studiując krajobraz w tle. W smolistych źrenicach lalki odbiła się jego zniekształcona postać. Jak to się wyświeśla? Monitor? Ale skąd takie mechanizmy w świecie, gdzie przechodzi się przez ściany jak za sprawą czarów, a niebo okupują gigantyczne latające ryby?

Mimowolnie spojrzął w przeciwną stronę, szukając rzutnika i nagle za gardło schwycił go spazm obrzydzenia. W tej niszy stało krzesło z przykrepowanym ciałem kobiety – bezgłowym, bez ramion, częściowo zrośniętym z meblem w bluźnierczym połączeniu materii żywej i nieożywionej. Chuda pierś unosiła się w nieregularnym oddechu, jakby ofiara cierpiała męki, nie mogąc wyrazić swego bólu krzykiem. Rozłożone uda bezwstydnie odsłaniały srom, a na siedzisku rozlewał się czerwony śluz. Dygocąc ze wstrętu i grozy, Piotr cofał się, nie mogąc oderwać oczu

od makabrycznego widoku.

Nie mając odwagi odwrócić się do owego kadłuba plecami, szedł tyłem aż do wylotu uliczki. Całkiem odeszła mu ochota na dalsze zwiedzanie zaułka.

Zaczynała w nim kiełkować na razie niejasna teoria, czym w istocie jest miejsce, do którego trafił. Zbyt wiele widział tu znajomych lub wręcz dobrze znanych elementów! Jak choćby ten ohydny zewłok!

- A co z „prorokami”? – mruknął, patrząc na drogowskaz.

Znów ściany w kolorze sepii złamanej zielenią, a w nich wnęki – niektóre próżne, inne zajęte przez postacie zdające się drzemać lub medytować nad czymś głęboko. Była tam kobieta o twarzy pięknej i strasznej zarazem, jakby złożonej ze skórzastych woali. W jej ogromnych oczach zachodziło słońce, a czerwone kruki siadały na bezlistnych gałęziach. Był też człowiek bez ust, w sztywnej papierowej kryzie, patrzący wprost przed siebie ciemnymi, okrągłymi jak u sowy oczami, w których czaiło się przerażenie.

Piotr tylko pokiwał głową, przechodząc mimo. Zaułek kończył się ślepo. Bez szczególnego zdziwienia ujrzał rzeźbioną kołyskę z krucyfiksem na wezłowie. Kołyska kolebała się miarowo, poruszana dłonią zgarbionej postaci w niebieskim faldzistym płaszczu z kapturem. Obok na ziemi poniewierały się kawałki szkieletu. Na odrapaniej ścianie rozpięto kukielkę. Wyżej, na krawędzi muru przysiadły rzędem czarne ptaszyska, mierzące przybysza wrogimi spojrzeniami, jakby rozważały czy wydziobać mu oczy już teraz, czy trochę poczekać. Niżej na splekanym tynku widniał napis po łacinie:

IN HOC SIGNO VINCES

- Pod jakim znakiem? – zapytał Piotr. Bieguny kołyski stuknęły, budząc echo. Prorok uniósł głowę, ale pod kapturem była tylko ciemność.

- Każdy zwycięża pod własnym – padła odpowiedź wypowiedziana głosem suchym i szeleszczącym, jak tasowanie pergaminowych kart.

- Tak? A jaki jest mój? – spytał Piotr gorzko. – Może ten cholerny kot, który mnie prześladowa od dziecka?

- Kot to symbol twojego obłędu – odparł prorok, a jakiś ptak zaskrzeczał urągliwie.

- Raczej mi nie pomagasz – mruknął malarz. W odpowiedzi usłyszał cichy syczący śmiech.

- Prorocy nie są od pomagania. Prorocy... prorokują.

- A co mnie wyprorokujesz?

- Idź za różą.

Kilka ptaków sfrunęło na kukielkę i zaczęło ją dziobać od niechcienia. Milczenie przedłużało się, więc mężczyzna zawrócił, stwierdzając, że nie dowie się niczego nowego.

*

Drogowskaz miał jeszcze jedną strzałkę, celującą w głąb kolorowej promenady. Napis głosił: GŁUPCY.

Coś dla mnie – pomyślał Piotr, kierując się w górę ulicy. – Jakby nie było, jestem kretynem.

Po drodze widział inne tabliczki. Kapłanki, Magowie, Eremici... Kiedy dostrzegł Powieszonych i Rydwany, zdał sobie sprawę, że są to nazwy arkanów tarota. Przeciskał się między sztywnymi spódnicami dam, podążając za strzałkami informacyjnymi. Ostatnia wisiała na słupku, na samej krawędzi tarasu, wymownie wskazując

poza barierkę. Piotr roześmiał się – o ile pamiętał, Głupiec na karcie beztrósko stapał w przepaść.

- Nie, dzięki, nie skorzystam – powiedział głośno.

Z tarasu roztaczał się urokliwy widok na poblękitniałe niebo. Tu i tam dryfowały złoto-szafirowe rybie olbrzymy, a dokładnie na wprost Piotra rozkwitała niewiarygodnie wielka róża. Przez chwilę podziwiał wspaniałe widoki, potem rozejrzał się po tarasie. I wtedy zobaczył w pobliskim murze znajome drzwi.

- Jest róża. No i jest wyjście! – ucieszył się, kładąc dłoń na klamce. Ustąpiła z łatwością, więc bez namysłu przekroczył próg.

*

Znów stał na znajomej kamienistej plaży, teraz usianej gargantuicznymi muszlami. Kot wpatrywał się w niego jakby z oczekiwaniem. Zmełł w zębach przekleństwo. Ze złością jeszcze raz szarpnął klamkę. Rozsypała mu się w rękę na drobne okruchy, miałkie jak kolorowa kreda. Może to naprawdę była kreda...?

- Gdzie ja, ku**a, jestem?! – wrzasnął. – To wszystko to są pie****one obrazy! Stary Beksiński, Sętowski i Bóg wie co jeszcze, czego się naoglądałem na wystawach! Ta róża – uniósł ramiona w geście desperacji, odwracając się ku wciąż wiszącemu na nieboskłonnie absurdalnemu kwiatowi - to przecież *Rosa meditativa* Dalego! Jestem we własnej głowie?!

Kot patrzył ze swoim zwykłym spokojem, jak się miota.

- Te cholerne drzwi prowadzą tylko w jedną stronę?

Koci wzrok mówił: Tak.

- To samo stało się z dziewczyną przedemną? Weszła i nie mogła już wrócić?

Kot mrugnął, jakby twierdząco.

Piotr umilkł. Zgarbiony, z rękami w kieszeniach ruszył wzdłuż granicy złotej rtęci w stronę przeciwną od betonowego klifu. Jeśli to było piekło malarzy, czy istnieje raj? I gdzie? Może zdoła dotrzeć do pogodnych akwareli Larssona, pełnych jasnowłosych dzieci, drewnianych szwedzkich domów, gdzie przyjmą strudzonego wędrowca i poczęstują go herbatą. Może gdzieś za mglistym horyzontem biesiadują wioślarze Renoira, a pogardzany dotąd Bouguereau wypuszcza na łąki swoje kiczowate pastreczki i puciołowatych Kupidynów.

Żwir chrząścił pod stopami malarza. Rzucił spojrzenie przez ramię. Jego obłęd cicho szedł za nim.

A róża na niebie kwitła obietnicą.

Opowiadanie zainspirował cykl obrazów malarza surrealisty Zbigniewa Beksińskiego i jest ono trybutem dla nieżyjącego już artysty.



FOT. MACIEJ GROCHAŁA

EWA BIAŁOŁĘCKA – autorka powieści i opowiadań zaliczanych do gatunku fantasy. Ośmiokrotnie nominowana do Nagrody im. Janusza Zajdla, polskiej corocznej nagrody literackiej w dziedzinie fantastyki – statuetkę zdobyła dwukrotnie, za opowiadania „Tkacz Iluzji” i „Błękit maga”. Jej teksty dotąd przekładano na pięć języków. Pracuje jako redaktor i tłumacz z języka rosyjskiego. Członkini grupy literackiej Harda Horda, ponadto witrażystka i miłośniczka kotów.



BUONGIORNO

POMODORI!

Ten felieton będzie w pewnym sensie sadomasochistyczny. Bo kiedy za oknem śnieg, w Kartuzach kładą ślady na trasach biegówkowych, a w ogrodach zamiast pomidorów rosną bałwany, dużo bardziej oczywistym tematem byłyby zachwyty nad bigosem mistrza Andrzeja z autorską mieszanką siedmiu mięs i konfitury śliwkowej albo dumanie nad utraconą tradycją robienia zapasów na zimę. Jednakże wspomniane elementy zimowego krajobrazu pojawiają się i znikają, więc wybiegnijmy nieco w czasoprzestrzeń i zastanówmy się, operując pure nonsensem: Dlaczego kuchnia włoska wzbudza zachwyty i przyspiesza bicie serca?

Bo, Panowie i Panie, kuchnia włoska wielką kuchnią jest. Choć źródła swojej wielkości ma w bardzo skromnych zasobach mieszkańców miast i miasteczek Italii (oraz należącej do niej wysp), jak i również w niezwykłej kreatywności tamtejszych mam.

Czy są pośród nas przedstawiciele gatunku ludzkiego, których odrzuca sama myśl spożycia pizzy tak jak w dzieciństwie odrzucał nas tran? Czy jest na sali ktokolwiek, kto wzdyga się, kiedy przychodzi mu zmierzyć się z talerzem

po bożemu przygotowanego ragù bolo-gnese? Nie sądzę. Pizza i pasta – kulinarne Koloseum zbudowane z jajek, mąki i wody. Kiedy zrzucamy wieczorną porą zbroję codzienności, a w lodówce przeciąg taki, że jedynie uszy można sobie odmrozić, nasze myśli wędrują najczęściej do ulubionej lokalnej pizzerii, gdzie szybko, smacznie i skutecznie uciśzemy wewnętrzny głodomora. Jeżeli mamy pod ręką makaron, dobrą oliwę i czosnek to już mamy fundamentalne danie ludzi zapracowanych. Dorzucić na

wierzch jeszcze tylko solidnie starzonego twardego sera, by pojawiło się w naszej kreacji mityczne umami, i tak otrzymujemy miks składników podstawowych, prostych, o znanym pochodzeniu i mało przetworzonych – czyli piękno kuchni w pełnej krasie. Najbardziej wyrazistym przykładem cudownej prostoty jest makaron. Wystarczy trochę mąki „zero zero” i semoliny, dwa jajka, dwie ręce i mamy ciasto na makaron – bez garowania, ciepłej, zimnej fermentacji, dojrzewania czy wyrastania. Nadanie mu kształtu to już kwestia upodobań czy kreatywności. Nie jestem pewien, czy ktokolwiek kiedykolwiek zliczył na ile sposobów można pociąć rozwałkowane ciasto na makaron. Temat to już tak rozbudowany, że obok już znanych *pizzaioli* pojawiają się *pastai* – kucharze wyspecjalizowani w makaronowych fajerwerkach.

O wielkości kuchni włoskiej świadczy też to, że jej krajobraz to pole wiecznych bitew – choćby o wyższości pizzy neapolitańskiej nad plackiem z wąskimi

rantami, czy o to, ile jaj właściwie powinno mieć ciasto na makaron. Albo weźmy odwieczną bitwę serów twardych Parmigiano Reggiano vs. Grana Padano o to, który właściwie może być nazywany „parmezanem” (gdzie według piszącego te słowa wygrywa trzeci – solidnie starzony pecorino, rzymski lub sardyński).

z odrobiną wody z gotowania makaronu – składnikiem nieoczywistym, a będącym tajemnicą, która łączy wszystko, nadając całości aksamitny i emulsyjny charakter. Mamy w rezultacie najprostsze, a zarazem jedno z najpopularniejszych dań kuchni włoskiej, czyli Fettuccine Alfredo. Danie zawierające tak potężną dawkę

kuchennym blacie i zaczynamy łączyć najbardziej podstawowe produkty wywodzące się z wielu regionów tego południowego kraju. Bazylia – zioło podstawowe włoskiej kuchni, używane w ilościach homeopatycznych w tradycyjnym sosie pomidorowym włoskiej *nonny* i garściami dodawane do wszelakich mutacji pesto. Karczochy, których serca mają tak swoisty smak, że aż uzależniają. Najdroższa usługa, z jaką się kiedykolwiek spotkałem na włoskim targu, zawierała się właśnie w różnicy w cenie karczocha nieobranego i obranego. Po wielokrotnej walce z nieobranymi postanowiłem wyrzucić węża z kieszeni – przynajmniej w tym temacie. No i element spajający, towarzyszący i nieodłączny – oliwa z oliwek. Przenika wszystko, nadaje gładkości i charakteru. Jej spektrum smakowe jest potężne – maślane, chlorofilowe, pikantne, łagodne – wszystkie odcienie zielonej tęczy.

Wrzeszczański krajobraz coraz częściej wzbogaca się o kolejne projekty związane z kuchnią włoską - to restauracje czy delikatesy śródziemnomorskie, które wypełniają dziś „egzotyczną” pustkę po przedwojennych sklepach kolonialnych. Mamy w dzielnicy tyle szczęścia, że możemy pogadać o włoskich produktach z przemyłymi paniami z Madame Ricotta czy poczuć iście rodzinny klimat w Sapori del Sud. Wracając do gombrowiczowskiego nawiązania kilka zdań wyżej - Gałkiewiczowi ciężko będzie w tym przypadku wstać i powiedzieć, że „nie zachwyca”. Bo kuchnia włoska zachwyca i basta!



W każdej z tych bitew widać wielopokoleniowe zacięcie. Choćby w internecie, gdzie pod postami dotyczącymi tej tematyki ukazują się komentarze długości niniejszego felietonu, wyskakujące spod palców piszących niczym radzieckie pancerne zagony z lasów na łuku kurskim. No ale kuchnia frontowa to osobny temat. Fascynacja kuchnią włoską to wyraz naszej tęsknoty do południowego słońca i soczystych kolorów włoskiej natury. To też piękno i prostota. Np. w postaci makaronu z świeżo mielonym białym pieprzem i owczym pecorino wraz

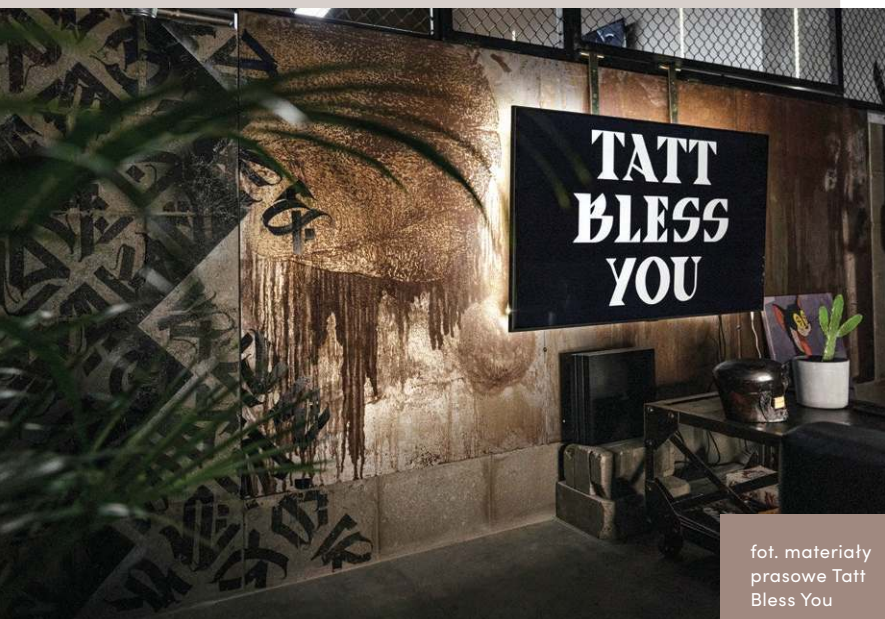
umami, że zgoła trudno opisać i oddać przyjemność z jego jedzenia. Naturalnie bez kurczaka, śmietany czy innych imperialistycznych naleciałości. Inne obłędnie proste pasty, jak carbonara czy amatriciana, to również ledwie trzy-cztery składniki, których połączenie daje niesamowity efekt. A synergia prostego *sofrito* podkreślonego odrobiną świńskiego policzka czy pancetty oraz chlusem wina to doskonały początek każdego sosu na bazie pomidorów.

Kuchnia włoska to magia, która zaczyna działać w momencie, kiedy stajemy przy

JAKUB GAWRON – główny piwowar w Browarze Vrest. Entuzjasta gotowania – zarówno w garnkach o standardowych wymiarach, jak i tych o pojemności kilkudziesięciu hektolitrów. Za pożądanym składnikiem do kolacji jest w stanie objechać całe Trójmiasto i nie tylko. Kontemplator gastronomii.



PaCzka, GoTÓwKa, WiNo i TAtuaż



fot. materiały prasowe Tatt Bless You

Otwarcia, inauguracje i instalacje w Garnizonie to coś, o czym bardzo lubimy pisać. Przyjrzyjmy się więc nowościom, które ostatnimi czasy pojawiły się w naszej okolicy, a także tym, które dokonają się w najbliższym okresie. Warto mieć oczy szeroko otwarte!

Jeszcze pod koniec roku 2021 w Garnizonie zadebiutowały nowe koncepty. Na rogu ulic Szymanowskiego i Chrzanowskiego powstała przestrzeń łącząca w sobie salon winiarski z bogatą ofertą alkoholi (**Fine Wine**) i miejsce spotkań, warsztatów kulinarnych oraz degustacji (**Fine Spot**).

Gwiazdkowym prezentem dla mieszkańców Garnizonu były dwie wielce wyczekiwane maszyny. Przy ul. Norwida 15, na korytarzu prowadzącym do sklepu Biedronka, zainstalowany został drugi w Garnizonie **bankomat** (pierwszy znajduje się przy

fol. materiały
prasowe Fine Wine



fol. Paweł Durkiewicz

W lokalu przy ul. Stachury 6, między delikatesami „U Lokalsów” a sklepem mięsnym Crazy Butcher, powstał sklep **Mood Concept Store**, oferujący jakościowe artykuły, odzież oraz usługi dla dzieci i mam. Z kolei przy ul. Leśmiana 1 swoją działalność rozpoczął butik z odzieżą damską **Bella Ricca**. Po sąsiedzku, bo pod adresem Leśmiana 3, otworzyło swoje podwoje studio tatuażu **Tatt Bless You**. Ulica Leśmiana będzie w kolejnych miesiącach świadkiem kolejnych inauguracyj – powstają tu obecnie nowy salon meblowy, salon piękności oraz pracownia tortów artystycznych. Z kolei w I kwartale Garnizonu, przy ul. Szymanowskiego 20, swoją działalność rozpocznie niebawem **MEDSPA by Dr Kobylińska** – klinika dermatologii i medycyny estetycznej. Dodajmy, że w tej samej okolicy, a konkretniej przy ul. Szymanowskiego 14, od kilku miesięcy klientów przyjmuje już nowy salon kosmetyczny **Patrycja Malinowska Permanent Make Up**.



fol. Paweł Durkiewicz

wejściu do hotelu Smart). Nowe urządzenie Euronet Polska posiada również funkcję wpłaty gotówki. Przy hali badmintona (ul. Słowackiego 7a) stanął zaś paczkomat InPost, umożliwiający odbieranie i nadawanie przesyłek.

Termin ważności:
do 31.03.2022

-15%

strzyżenie, broda, combo
(strzyżenie+broda)

Hasło:
EASY GARNIZON



GASTRONOMIA

- 1 **GASTRONOMIA PROGRES** - EVENT&CONFERENCE ul. Stowackiego 17
- 2 **JAFFA EAT&DRINK** - restauracja izraelska ul. Stowackiego 13/4
- 3 **U KRÓLIKA** - restauracja ul. Stonimskiego 6/U12
- 4 **LULA FOOD & DRINK** ul. Norwida 4
- 5 **MARMOLADA CHLEB I KAWA** - kawiarnia-piekarnia z restauracją ul. Stonimskiego 5
- 6 **UMAM** - cukiernia i kawiarnia ul. M. Hemara 1
- 7 **SCHABOWY, MIELONY I TAKIE TAM** - restauracja ul. Stowackiego 13/U1
- 8 **STRUŚKAWKA** - kawiarnia ul. Stowackiego 19
- 9 **SZTUKA WYBORU** - kawiarnia ul. Stowackiego 19
- 10 **BROWAR VREST** - browar rzemieślniczy, bistro ul. Stowackiego 23
- 11 **PUB BROWAR SPÓŁDZIELCZY** al. Grunwaldzka 190
- 12 **KUCHARIA** - restauracja z kuchnią polską ul. Stonimskiego 6/U4, ul. M. Białoszewskiego 6
- 13 **ELIKSIR** - cocktail bar&restaurant ul. Hemara 1
- 14 **PING PONG** - kuchnia azjatycka ul. Stowackiego 21
- 15 **POBITE GARY WRZESZCZ** ul. Stowackiego 21
- 16 **COLUMBUS BISTRO & CAFÉ** ul. Norwida 9
- 17 **MAMI SUSHI** - sushi bar ul. Hemara 3
- 18 **LIMONCELLO DI MIELNIK** - restauracja włoska ul. Hemara 15
- 19 **MASNA MICHA** - bowlle, sałatki, wrapy ul. Hemara 23
- 20 **WŁOSZCZYŹNA** - pizzeria ul. Stonimskiego 6
- 21 **FINE WINE** - salon winiarski ul. Chrzanowskiego 11
- 22 **FRANCO HOT DOGS** - rzemieślnicze hot dogi ul. Chrzanowskiego 11/U9
- 23 **ORANŻERIA** - restaurant&cocktail ul. Stachury 6
- 24 **LATTO GELATO** - lodziarnia ul. Białoszewskiego 12
- 25 **ZAKWASOWNIA** - vegan&organic bistro ul. Norwida 2
- 26 **FILIŻANKA** - pijalnia czekolady ul. Norwida 7
- 27 **FERRARA** - restauracja włoska ul. Stonimskiego 6/U2
- 28 **CRAZY BUTCHER** - bistro ul. Leśmiana 11

ARTYKUŁY SPOŻYWCZE

- 29 **GDANSKI BAZAR NATURY** - bazar ekologiczną i regionalną żywnością ul. Stowackiego 19
- 30 **ZAKWASOWNIA** - vegan&organic sklep ul. Norwida 2
- 31 **SKŁAD WINA I LAWENDY** - winiarnia, produkty prowansalskie ul. Norwida 17
- 32 **ŻABKA** ul. Stonimskiego 1/62
- 33 ul. Chrzanowskiego 11
- 34 ul. Hemara 2
- 35 ul. Leśmiana 9
- 36 **BIEDRONKA** ul. Norwida 15
- 37 **MANUFATURA MOJEJ MAMY** - cukiernia/piekarnia ul. Chrzanowskiego 1
- 38 **BIENVENU** - piekarnia francuska ul. Chrzanowskiego 11/1
- 39 **SAPORI DEL SUD** - delikatesy śródziemnomorskie ul. Chrzanowskiego 9/U1
- 40 **MIELNIK/VIKTORIA** - piekarnia/cukiernia ul. Norwida 23
- 41 **DESEROWNIA** - cukiernia ul. Leśmiana 1
- 42 **VININOVA** - wina i alkohole ul. Leśmiana 7/U16
- 43 **MISIEK** - delikatesy mięsne ul. Norwida 9 U1/U2
- 44 **WINE TASTE BY KAMECKI** - sklep winiarski ul. Stachury 6
- 45 **U LOKALSÓW** - delikatesy spożywcze ul. Stachury 6
- 46 **CRAZY BUTCHER** - sklep mięsny ul. Stachury 6
- 47 **BULWA** - warzywniak ul. Norwida 9/U3
- 48 **WARZYWNIAK W GARNIZONIE** - artykuły spożywcze ul. Hemara 2

ZDROWIE

- 49 **INDYWIDUALNA SPECJALISTYCZNA PRAKTYKA LEKARSKA** ul. Hemara 3/U5
- 50 **DENTAL SPA** - Klinika Stomatologii Kosmetycznej ul. Szymanowskiego 14
- 51 **ORTHOPEDECS** - specjaliści ortopedii ul. Szymanowskiego 14/U8
- 52 **GABINETY ZDROWIA POBŁOCZY** ul. Stonimskiego 6/9
- 53 **PRZYCHODNIA LEKARSKA NFZ SŁONIMSKIEGO** ul. Stonimskiego 1/63
- 54 **OPTYK HANZA** ul. Norwida 23/U1
- 55 **ORTOPEDIKA** - Centrum Chirurgii Specjalistycznej ul. Hemara 17

- 56 **WIEWIÓR „K”** - Stomatologia Dziecięca i Rodzinna ul. Norwida 7/U4
- 57 **SANODENTAL** - gabinet stomatologiczny ul. Stonimskiego 1/69
- 58 **HOLISTIC TERAPIE NATURALNE** ul. Stowackiego 3
- 59 **PROBODY CLINIC** - gabinet fizjoterapii ul. Norwida 2
- 60 **NORD CLINIC** - centrum pediatrii ul. Norwida 3/U2
- 61 **PREMIUM LAB** - stomatologia ul. Szymanowskiego 20/U1
- 62 **APTEKA** Szymanowskiego 14
- 63 **PRODENT** - gabinet stomatologiczny ul. Stonimskiego 1/65
- 64 **K&K JAGŁAK** - salon optyczny ul. Szymanowskiego 14

URODA

- 65 **DASHA BEAUTY** - kosmologia estetyczna&PMU ul. Szymanowskiego 14
- 66 **PATRYCJA MALINOWSKA PERMANENT MAKEUP** - salon kosmetyczny ul. Szymanowskiego 14/U9
- 67 **FRYZYJERZY Z GARNIZONU** ul. Białoszewskiego 5
- 68 **ZAWSZE PIĘKNA** - salon urody ul. Stonimskiego 1/68
- 69 **KOSOWSKA MEDICAL MASSAGE** - masaż leczniczy ul. Norwida 2/U7
- 70 **SALON ALICJA** - kosmologia ul. Stonimskiego 6/U10
- 71 **LOKÓWKA** - studio fryzjerskie ul. Hemara 3
- 72 **STETSIUK HAIR EXPERT** - salon fryzjerski ul. Chrzanowskiego 11
- 73 **CZUPRYNKI CZESANIE & BRYKANIE** - fryzjer dla dzieci ul. Stonimskiego 6/U1
- 74 **SKIN LAB** - gabinet kosmologii ul. Hemara 2
- 75 **FIVE SENSES** - float spa ul. Norwida 4
- 76 **EASY BARBERS** - męski salon fryzjerski ul. Białoszewskiego 10
- 77 **INSTYTUT URODY POR FAVOR** ul. Hemara 15/U2
- 78 **SZTORM** - Tattoo Studio ul. Norwida 13/U1
- 79 **SZTORM BARBERSHOP** - fryzjer męski ul. Norwida 13
- 80 **SUSZARKA** - salon fryzjerski ul. Szymanowskiego 18
- 81 **FIX YOUR SKIN** - gabinet kosmologii ul. Szymanowskiego 20/U4
- 82 **AMBER HAMMAM** - day spa ul. Chrzanowskiego 11

- 83 **MANI PEDI BY LUIZA** - manicure i pedicure ul. Leśmiana 9/U12
- 84 **V'S BEAUTY ROOM** - salon manicure ul. Stonimskiego 6/U1
- 85 **PERFECT LOOK CLINIC** - salon piękności Leśmiana 11/U11
- 86 **DROGERIA NATURA** ul. Norwida 15
- 87 **PROFESSIONAL ACADEMY OF HAIR AND BEAUTY** - salon fryzjerski ul. Stonimskiego 1/64
- 88 **HAIRMATE** - salon fryzjerski ul. Leśmiana 11
- 89 **TATT BLESS YOU** - studio tatuażu ul. Leśmiana 3
- 90 **DERMIDEA** - Centrum Medycyny Estetycznej i Laseroterapii ul. Stonimskiego 2/5

KULTURA I ROZRYWKA

- 91 **SZTUKA WYBORU** - galeria sztuki ul. Stowackiego 19
- 92 **STARY MANEŻ** - klub muzyczny ul. Stowackiego 23
- 93 **STUDIO TAŃCA ARTISTIC** ul. Stowackiego 21
- 94 **POMORSKI INKUBATOR KULTURY** ul. Stowackiego 21
- 95 **WRZE PRACOWNIA** - studio foto, video ul. Stowackiego 19/8
- 96 **KOTY NA PŁOTY** - warsztaty krawieckie ul. Stowackiego 19
- 97 **MAG MODERN ART GALLERY** ul. Leśmiana 11

SPORT I REKREACJA

- 98 **KLUB BADMINTONA GARNIZON** ul. Stowackiego 7a
- 99 **MURALL** - centrum wspinaczkowe ul. Hemara 23/U3
- 100 **STUDIO TAŃCA ARTISTIC** ul. Stowackiego 21
- 101 **MEON EMS Impulse Training** ul. Chrzanowskiego 11

WNĘTRZA, DESIGN I MODA

- 102 **DECORE ATELIER** - dekoracje okienne ul. Hemara 2
- 103 **PROJEKT KWIATY** - kwaciarnia ul. Stonimskiego 6
- 104 **OKNO, KWIATY I MY** - kwaciarnia ul. Norwida 7
- 105 **KOTY NA PŁOTY** - pasanteria, sklep z tkaninami ul. Stowackiego 19
- 106 **EYEMAZING** - designerskie okulary ul. Leśmiana 1
- 107 **BELLA RICCA** - butik odzieżowy ul. Leśmiana 1
- 108 **EVC DESIGN STUDIO** ul. Leśmiana 11
- 109 **TAILORS CLUB POLAND** - krawiec męski, szycie na miarę ul. Norwida 2
- 110 **STYLOWA** - butik odzieżowy ul. Szymanowskiego 18

- 111 **RUBIO** - galeria sztuki i designu ul. Stowackiego 19
- 112 **NP STUDIO** Natalia Pigulak - projektowanie kuchni ul. Białoszewskiego 6/U1
- 113 **GALERIA IDEALNE WNETRZA** ul. Stowackiego 19
- 114 **DARK ARKITEKTER** - biuro projektowe ul. Stowackiego 19
- 115 **ALFA FLOORS** - podłogi drewniane ul. Hemara 3
- 116 **ARTEMIA DESIGN** - studio projektowania wnętrza ul. Szymanowskiego 4
- 117 **BY CABO** - butik odzieżowy ul. Norwida 2
- 118 **AZ BUTIK** - odzież ul. Chrzanowskiego 9/U4

DORADZTWO

- 119 **BIURO DORADZTWA EKONOMICZNEGO I PRAWNEGO** al. Grunwaldzka 186, lokal 2.11.
- 120 **KANCELARIA ADWOKACKA ADWOKAT DARIUSZ MACIEJEWSKI** al. Grunwaldzka 186
- 121 **RKF Iwona Ratkowska (EXPANDER)** - kredyty hipoteczne, doradztwo finansowe ul. Stonimskiego 5/U3 (64)
- 122 **BIURO RACHUNKOWE ANNA DEMCZUK** - usługi księgowe ul. Szymanowskiego 20/U3
- 123 **MANUFATURA KREDYTÓW** - usługi finansowe ul. Szymanowskiego 20/U3
- 124 **UNILINK** - ubezpieczenia ul. Stonimskiego 6/U6
- 125 **MICHAEL/STRÖM INVESTMENTS** Dom Maklerski S.A. ul. Stonimskiego 2/U1
- 126 **AXA Polska S.A.** ul. Norwida 4
- 127 **UBEZPIECZALNIA** ul. Norwida 4
- 128 **BAKOWSKI&HADAŚ KANCELARIA RADCÓW PRAWNYCH SP. P.** al. Grunwaldzka 186 l.p.
- 129 **CZERNIAWSKI, BŁASZKOWSKI, DROGOSIEWICZ RADCY PRAWNI SP. P.** ul. Norwida 2
- 130 **NOTARIUSZE MILENA GŁUCHOWSKA, DAGMARA GORNOWICZ, MARTA LINDNER** al. Grunwaldzka 190
- 131 **KANCELARIA ADWOKACKA ALEKSANDRA PIELUŻEK-LABUDA** ul. Szymanowskiego 4
- 132 **PKF CONSULT** ul. Szymanowskiego 4
- 133 **PRZEDSZKOLE ŻYRAFA** ul. Norwida 4
- 134 ul. Stowackiego 13

DLA DZIECI

- 135 **MAMALULU** Akcesoria dziecięce ul. Hemara 3
- 136 **LUCKY DUCKY** - artykuły dla niemowląt i dzieci ul. Szymanowskiego 14
- 137 **BUDUMI** - przestrzeń do zabawy i nauki ul. Hemara 19
- 138 **ŻŁOBEK A-KUKU** ul. Chrzanowskiego 11/U7
- 139 **MOOD CONCEPT** - artykuły dla dzieci i mam ul. Stachury 6

NIERUCHOMOŚCI

- 140 **CENTRUM NIERUCHOMOŚCI HOSSA** al. Grunwaldzka 190
- 141 **PREMIUM APARTMENTS** - biuro nieruchomości ul. Stonimskiego 6/13
- 142 **HOME ASSET** - biuro nieruchomości ul. Norwida 4
- 143 **METROHOUSE** - biuro nieruchomości ul. Leśmiana 11/U9

INNE

- 144 **FINE SPOT** - spotkania, eventy, degustacje ul. Chrzanowskiego 11
- 145 **BIELINEK** - pralnia ekologiczna ul. Stonimskiego 6/5
- 146 **TRAVELPLANET.PL** - biuro podróży ul. Stonimskiego 1/67
- 147 **SMART HOTEL** ul. Stowackiego 3
- 148 **KAMPUS** - usługi noclegowe ul. Stowackiego 19
- 149 ul. Stowackiego 13
- 150 **AVIS** - wypożyczalnia samochodów ul. Norwida 2
- 151 **ADI GLOBAL** - systemy bezpieczeństwa ul. Norwida 4
- 152 **LUKAS FILM** - produkcja filmów reklamowych i sesji zdjęciowych ul. Stowackiego 19/8
- 153 **WSZYSTKIEGO SŁODKIEGO** Content&Event Studio ul. Hemara 23/U4
- 154 **ZOOLAND** - sklep zoologiczny ul. Stonimskiego 1/71
- 155 **THE AMERICAN ACADEMY OF BUSINESS** ul. Szymanowskiego 20/U6
- 156 **EGO** Centrum Pomocy Psychologicznej al. Grunwaldzka 186
- 157 **STRAŻ MIEJSKA** al. Grunwaldzka 186
- 158 **PAR L'AMOUR** - butik erotyczny ul. Leśmiana 11/U10
- 159 **LIGHTBOX** - zdrowa dieta z dostawą al. Grunwaldzka 186



Al. Grunwaldzka

Białoszewskiego

Białoszewskiego

Słonimskiego

Norwida

Hemara

Norwida

Hemara

Stachury

Leśmiana

ul. Słowackiego

Chrzanowskiego

Al. Żołnierzy Wyklętych

- Wjazd na parking podziemny
- Parking naziemny
- Parkometr
- Punkt ładowania samochodów elektrycznych
- Przystanek autobusowy/tramwajowy
- Strefa parkowania Garnizon
- Strefa parkowania Garnizon zabytki



ZAPARKUJ W GARNIZONIE!

Sprawdź, gdzie i na jakich zasadach możesz komfortowo zaparkować swoje auto za każdym razem, gdy przyjeżdżasz do Garnizonu.

OPLĄTY JEDNORAZOWE

PARKINGI PODZIEMNE -1

7 DNI W TYGODNIU, 24H/DOBĘ

- A** – Norwida 2-4, Słonimskiego 1-9
Wjazd: **P11, P12**
- B** – Białoszewskiego 8
Wjazd: **P9**
- D** – Chrzanowskiego 11, Szymanowskiego 20
Wjazd: **P1, P6**
- E** – Norwida 1 | GATO
Wjazd: **P8**
- F** – Leśmiana 1
Wjazd: **P3**

pierwsza
1h = 0 zł
z biletem

każde kolejne
30 min = 1 zł

PARKINGI NAZIEMNE

7 DNI W TYGODNIU, 8.00-20.00

- Grunwaldzka 184
(dziedziniec - zabytki)
- Białoszewskiego
(przy Klubie Badmintona)
- Liniarium
(Garnizon Kultury)
- Pozostałe parkometry

postój
do **30 min**
z biletem
= 0 zł

abonament
100 zł/m-c
zakup
w parkometrze

pierwsze
30 min = 1 zł

drugie
30 min = 1 zł

każde kolejne
30 min = 2 zł

ABONAMENTY

1 m-c **6 m-cy** **1 rok**

230 zł
brutto

1200 zł
brutto

2214 zł
brutto

Jak wykupić abonament

1.



WEJDŹ NA
GARNIZON.PL/PARKOWANIE

2.



WYBIERZ INTERESUJĄCĄ
CIĘ OPCJĘ

3.



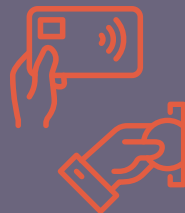
ZAPŁAĆ ONLINE

4.



ODBIERZ KARTĘ PARKINGOWĄ
W HOSSA.BIZ, NORWIDA 4

Jak opłacić jednorazowy postój:



W PARKOMETRZE



PRZEZ APLIKACJĘ
NA SMARTFONIE